

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 23; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W. W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

### Od Redakcyi.



#### Konkurs na nagłówek „Bluszczu.“

Zamierzamy w roku przyszłym przyozdobić pismo nasze nowym nagłówkiem i nadać mu charakter bardziej artystyczny; odwołujemy się przeto do panów malarzy i rysowników, aby raczyli do **dnia 20-go Października r. b.** nadsłać pod adresem Redakcyi „Bluszczu“ (*Nowy Świat 41*) odpowiednie prace, wykonane w rozmiarach proporcjonalnych dotychczasowego naszego tytułu (9 cent. wysokości na 23 centymetrów długości).

Ze względu na warunki reprodukcji chemicznej, pożądane są rysunki w powiększonym odpowiednio formacie.

Uproszczone grono sędziów wybierze z nadesłanych prac najlepszą i najodpowiedniejszą do charakteru pisma; nagrodę wyznaczamy w kwocie

#### rubli pięćdziesięciu,

którą wypłacimy natychmiast po rozstrzygnięciu konkursu.

Prace mogą być nadsyłane bezimiennie przy zachowaniu zwyczajnych warunków konkursowych.



### Straszenie dzieci!



Nie myślcie, łaskawe panie, iż tylko nianki umieją dzieci straszyć. Wyobrażacie sobie, że dziś w dobie postępu i zajęcia się psychologią dziecka, nie znajdzie się ani jedna mama lub ojciec tak nierozważny, któryby jeszcze pedagogię swoją ubierał w straszaka, jakiego sadzają między kapustą...

Niestety, — *nawyknięcia, są jak garby, trudne do wyleczenia*, więc i to zastarzałe nawyknięcie używania strachu w wychowaniu dzieci wcale jeszcze nie zostało uleczone. Jak szpetny garb sterczy między nami i przynosi bardzo niemiłe skutki swego istnienia.

Jeżeli taka Kasia lub Jagusia, wzięta ze wsi za niankę, nie umie sobie inaczej dać rady, jak tylko „strachem“, to i nie dziwnego, ale jeżeli mamusia, ciocia, lub nawet i tatuś straszyć dzieci poczyna, to rzecz bardzo dziwna i smutna.

Najczęściej, biedny „kominiarz“, lub „dział z torbami“ staje się straszdem, które ma wejść do pokoju Zosi lub Tadzia i zabrać go gdy nie chce spać, lub nie chce włożyć czystej sukienki, lub nie może zjeść kaszki z mlekiem.

Jakże tu nie używać środka tak bardzo łatwego, kiedy on na razie jest bardzo skutecznym!...

Postraszy się dziecko, że go wezmą do torby, że go wyrzucą przez okno, że go „handele“ sprzeda, i już wszystko na razie załagodne...

A jednak poruszanie struny lęku i trwogi w sercu młodem, to rzecz bardzo nieogłędna i — nieopoczciwa.

Czyni się to bez rozmysłu, z nawyknięcia, dla ślepego naśladownictwa, bo nas straszno-

no, bo straszyla babcia, niania, ciocia, nauczycielka, bo groza lęku wywołuje u dzieci posłuszeństwo... bo nas nieco to bawi, gdy widzimy minkę niespokojną i tę wiarę bezgraniczną w rozmaite zdarzenia, o których co prawda nie śniło się filozofom, ale my o nich dzieciom opowiadamy.

— Przyjdzie wilk, zje ciebie!

— Przyleci ptaszek, zapuka do okna, rozpowie wszystkim, jakaś ty niegrzeczna.

— Idzie, idzie dziad z torbą...

— Bozia się gniewa, grzmi! — to na ciebie...

Tak na każdym prawie kroku, każdego prawie dnia maltretujemy dzieci, ani myśląc, czem te strachy są dla młodej duszyczki, dla serca maluskiego, które jeszcze nie wie o nieprawdzie i jeszcze we wszystko wierzy z ufnością.

Straszakiem wychowywane dzieci na razie wydają się uległe i posłuszne, ale za to później, gdy nieco podrosną i zrozumieją, iż to wszystko było kłamstwo i fałsz — stają się dziećmi najgorszymi. Straciły wiarę w słowa matki, babki, cioci, lub ojca, wiedzą, że już kominiarz nie bierze dzieci, że już wilk przez zamknięte drzwi i okna do mieszkania nie wejdzie, więc robią, co tylko chcą, bo się nie boją strachów... a nie mają zasianego poczucia o tem, co to znaczy być dobrem dzieckiem. Więc później rodzice żalą się i narzekają, skarżą się ciągle:

— Co się stało? Co za zmiana? Dziecko było dobre, posłuszne, grzeczne, a teraz nie pomaga, chyba jedno bicie.

Tak się najczęściej kończy, iż dzieci wychowywane pod grozą strachu, później muszą być karane bardzo surowo, ażeby w posłuszeństwie jako tako się utrzymały.

Metoda straszenia jest najfatalniejszą krzywdą. Przedewszystkiem uczy kłamstwa, bo zapowiada zdarzenia takie, które się nigdy nie staną. Następnie, przemienia biedne, nie-

winne zwierzęta lub ludzi ciężko pracujących w jakoweś potwory i widma, które mają czynić dziecku rozmaite przykrości i bóle.

Dlaczego pytam, owego kominiarczyka lub dziada tak dziecku przedstawiać, iżby ono się go bało i na myśl o nim zakrywało oczy kołderką? Czy to ma później wyrobić litość dla ubogich, poszanowanie dla pracy pożytecznej?

Czy się nie da takiej młodej, anielsko niewinnej duszyczki inaczej w życie wprowadzać, jak tylko przy pomocy straszdeł i widm? Czy owa korzyść, iż dziecko zjadło cały talerzyk kaszki, wyrówna się stracie, jaką ono poniosło, gdy nabrało przekonania, iż dlatego grzmi, błyska i deszcz pada, bo Bozia się gniewa, że ono jeść nie chce?...

Doprawdy — nie jeden raz przysłuchując się podobnym słowom, — uczuwałam taki żal do tych, co mogą tak nieogłędnie dziecku życie ranić, iż radabym była wołać i krzyczeć z całej siły: dajcie pokój tej metodzie, dajcie pokój, to straszny nóż i rana głęboka.

Ale ludzie w ogóle nie lubią słuchać uwag, tem więcej zaś matki nie są rade, gdy się im kto wtrąca z uwagami, więc i ja, nie jeden raz, na temat ten usłyszałam odpowiedzi wcale niechętne.

Wiem też, że i teraz niejeden głos powstanie przeciw dzisiejszej gawędce. Są wszakże mamy, które powiadają:

— Straszono od lat najdawniejszych, a pomimo tej omyłki, przecież wyrastali u nas ludzie najdzielniejsi, nie zepsuły im te strachy drobne serca, nie wypaczyły charakteru.

Słuszne twierdzenie, jednak nie udawadniające wcale potrzeby używania strachu w wychowaniu.

To wszakże należy wziąć także pod uwagę iż każda epoka stwarza odmienne warunki, i jeśli pokoleniu wolnemu od nerwów, straszanie mniej szkodziło, to dziś, gdy wszystko nerwami żyje i na nerwy choruje, takie oddziaływanie za pomocą drażliwych efektów, bardzo wiele złego przynosi.

I pocóż kazać dzieciom przeżywać takie straszne, okropne chwile lęku, oczekiwania i trwogi?... Czyż nie lepiej prowadzić tak myśl w świat wrażeń, iżby z pogodą i radością spodziewały się zawsze czegoś dobrego i przyjemnego, a nigdy w krzywdę i zło nie patrzyły?...

Zamiast ciąglego powtarzania okropnych straszdeł, o wilkach, co zjadają złe dzieci, o dziadach, co biorą do torby, o handelesach, którzy sprzedają, możeby lepiej było zabawić dzieci opowieściami o tych dzieciach, które są biedne, głodne i zziębnięte i nie mają kaszki z mlekiem na śniadanie...

Jeśli dziecko spać nie chce, nie chce jeść, jeśli nie chce posłuchać, ani ukłonić się gościom, ani umyć buzi, to nie sądzicie, iż wy zwyciężyliście, gdy strachem dokonano się to, co miało być zrobione. Nie zwyciężyła ani ta mama, ani ta babcia, ani ta niania, która szeptała o wilku, ale zwyciężył błąd wychowawczy i on już potem ciągle zwyciężać będzie.

Dzieci wychowywane pod grozą strachu od początku — rosnać będą dalej pod grozą kary, a jeszcze dalej w samowolności zupełnej, bo

się charakter takich straszonych dzieci w niczem nie wyrabiał, nie naginał, nie cieniował, nie wyrzeźbiał, tylko lękiem, jak biczem był pędzony, a kiedy bicz ustąpił, wystąpiły wszystkie wady, nałogi i — winy.

Od najpierwszych miesięcy, kiedy już dziecko poczyną rozumieć mowę ludzką, należy się wystrzegać bardzo czujnie straszania dzieci. Jeżeli dziecko otrzymuje jakiś nakaz, — niech wie, że ma wypełnić go ani dla kary, ani dla nagrody, lecz dla obowiązku, dlatego, iż tak być ma, tak każą starsi.

Rozkaz ma być dany bez motywowania, bez wyjaśniania, dlaczego, po co, na co... a dziecko pojmie, że nie wolno go od posłuszeństwa. Dajmy na to: mama powiada — idź spać!... a dziecko woła: nie! Mamusia powinna wtedy zbadać, dlaczego dziecko nie chce iść spać i wyrozumieć, iż ciężko bardzo odłożyła zabawkę, gdy ona najbardziej cieszy, trudno niezmiernie zostawić cegielki, gdy budowa rozpoczęta, więc wtedy, w uszanowaniu woli dziecka, zastosować się do chwili i rzec:

— Gdy skończysz budowę, pójdziesz spać.

Taki rozkaz pewnie nie wywoła uporów, nie będzie potrzebował strachu na swe istnienie.

Tak samo w innych, rozlicznych okolicznościach.

A jeśli się ma istotnie dziecko o charakterze krnąbrnym i złym, tem mniej postrachem się posługiwać, bo strach tylko chwilowo, na jedno mgnienie niby pomaga, w istocie zaś, szkodę wielką wyrządza. Bo strach żadnej dobrej myśli ani jednego jasnego uczucia w duszy dziecka nie wzbudzi, a sieje ohydnych wad zarodki.

I czemu właściwie dziecięcą duszę straszyc? Ludźmi? — nigdy!...

Bo dziecko powinno uczyć się ludzi kochać i wiedzieć o tem, iż nigdy nikomu źle robić nie wolno.

Zwierzętami? Także nie!

Przyrody świat ma stać przed duszą dzieciny, jako wspaniała kraina piękna, pożytku i bogactwa.

Aniołami lub Bożą Mocą?

Ach!... dajcież raz temu pokój... wszak uczcie i uczcie Boga uwielbiać, kochać, podziwiać, a nigdy nie wskazujcie na Niego jako na karzącego, boć [to, zaiste, dla dziecka za wielka groza i moc...]

Więc nigdy niczem dzieci nie straszyc, a zawsze i wszędzie dobrocią i miłością prawdziwą, dobrą i sprawiedliwością je otoczyć... Młode serce jest miękkie, da się kierować, tylko my nie umiemy używać sił jego...

Czynimy omyłek wiele, bo sami siebie nie straszymy tą myślą: co to znaczy nie umieć dziecka wychowywać!

Jadwiga z Z. Strokowa.



TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

# SAD BOŻY.

OBRAZEK Z XII-go STULECIA.



(Ciąg dalszy).

## II.

Nie smakowało dziś panu Rajmundowi śniadanie. Pieczonego lina zaledwie dotknął, puhar, który mu paż napełnił winem, odsunął z niechęcią.

Jeździł sam z rybakami na jezioro, do kępy dyabelskiej i znalazł tam wyraźne ślady łodzi. Więc nie duchy wodne zakłóciły wczoraj jego spokój, lecz ktoś żywy, ktoś bardzo zręczny i odważny.

Żmija podejrzliwej zazdrości ukąsiła go w serce.

Podniósłszy się od stołu, mierzył ociężałym krokiem znużenia salę wzdłuż i wszerz, rzucając od czasu do czasu na żonę spojrzenia badawcze. Nie byłaby ta biała lilia północy tak czystą, jak wierzył dotąd? — dręczyła go zazdrość szeptem podstępnej gadziny. — Komuż przyszłoby na myśl przypominać się w tak dziwny sposób pamięci cudzej żony, gdyby nie miał prawa do jej pamięci? Serce niewieście grzeszy płochością, a na dworze narbońskim nie zbywa na zręcznych gachach, którzy rozumieją się na sztuce uwodzenia kobiet. Spójrz tylko na swoją żonę, jaka dziś blada, skupiona w sobie, jak unika trwożliwie twojego wzroku! Tak nie wygląda niewinność...

Pani Azalais siedziała w istocie przy stole cicha, zamysłona, nie biorąc udziału w rozmowie. Nazywano ją w Narbonne białą lilią północy, włosy bowiem miała jasne, koloru dojrzałego zboża, białą cerę blondynki i wysmukłą, wiotką kibić lilii. Przywiózł ją pan Rajmund z Normandyi, gdzie wziął z jej rąk na turniejach zaszczytną nagrodę. Natychmiast otoczył ją rój słodkojęzycznych wielbicieli, ale ona umiała chłodem i wyniosłością onieśmielić nawet najzuchwalszych. Najlżejszy cień nie padł dotąd na białe skrzydła jej cnoty.

— Być nie może, by te szczere oczy dziecka kłamały! — pocieszał się pan Rajmund. — Tak nie patrzy chytry grzech. — Ale zazdrość podszeptowała: obluda rodzi się z niewiasty, w najniewinniejszych oczach czai się zdrada.

Był jeszcze ktoś drugi, który badał z wielką uwagą grę rysów pani Azalais, udając, że zabawia się gorliwie puhaem.

Rudy pan Bertrand de Sizean, sąsiad zamku gruisańskiego, ilekroć podnosił srebrne naczynie do ust, wpijał się natrętnie świdrującym wzrokiem w twarz zamysłonej kobiety. Jego spojrzenia były szybkie i gasły natychmiast pod zmrzonymi powiekami, gdy pani Azalais zwróciła oczy w jego stronę.

Ukrywał niepotrzebnie swoją ciekawość, myśli bowiem białej lilii były w tej chwili daleko od zamku gruisańskiego, nie zwracały wcale uwagi na podejrzliwe spojrzenia pana Rajmunda i natrętne pana Bertranda. Tam, na północy, w ziemi Normandów, stał wśród dzikiej kniei zamek Montfort, a w tym

zamku chowało się dwoje dzieci: gwałtowny Roger i wesola zawsze Azalais. Dziewczynka rozkwitała po przedwczesnej śmierci rodziców pod troskliwym okiem opiekuna, starego hrabiego de Montfort.

Dzieci chowały się pod jednym dachem, wiedząc, że są dla siebie przeznaczone. Wesola, zawsze uśmiechnięta sierotka, rozwinęła się w urodziwą dziewczę, żywy, gwałtowny Roger wyrósł na słynnego rycerza. Wszystkie turnieje Francji i Anglii rozbrzmiewały sławą jego zręczności, liczne bitwy opowiadały o jego mężstwie i sokolim wzroku wodza.

Urodziwa panna zaczęła podziwiać rozslawionego przez trubadurów młodzieńca i podziwiała go tak wiernie, tak gorąco, aż z tego podziwu buchnął płomień miłości. Już mieli stanąć na ślubnym kobiercu, kiedy wiadomości o gwałtach muzułmańskich, nadechodzące z Ziemi Świętej, zapaliły fantazję rycerstwa normandzkiego. Wziął krzyż i Roger de Montfort, poszedł ze swoją drużyną do Palestyny i zginął nad brzegami Jordanu. Wiść żalobną przynieśli jego towarzysze broni i potwierdzili pielgrzymi.

Cztery lata opłakiwała Azalais młodą śmierć narzeczonego. Gdy łyż oschły, oddała rękę Rajmundowi de Gruissan. Ale serce nie zapomniało umarłego kochanka.

Wczorajszy wypadek rozerwał gwałtownie zabliznioną ranę jej serca, bo nieznamy spiewak spiewał głosem Rogera. Nie myliła się, nie mogła się mylić. Słyszała przecież ten głos tyle razy, drżał on w jej duszy echem uroczej pieśni pierwszej miłości. Więc Roger nie zginął — żył, był blisko, przypominał jej swoje prawa? Cóż ona mu odpowie, jak się wytłómaczy, gdy stanie przed nią i zapyta, dlaczego uwierzyła wiadomościom niepewnym? Powinna była wiedzieć, że z Ziemi Świętej wracali nieraz po latach kilkunastu rycerze, których mylne wieści zabiły i pogrzebały...

Na wieży odezwał się trzykrotnie róg strażnika na znak, że się do zamku zbliżają goście.

Goście, w tem pustkowiu, z kądem, na co? — pytał zdziwiony wzrok pana Rajmunda niemniej zdziwionego pana Bertranda. A błada pani Azalais pobladała jeszcze więcej i utkwiała we drzwi oczy przerażone. Serce jej rzucało się w piersi, jak spłoszona ptaszyna; była przekonana, że ujrzy za chwilę Rogera de Montfort.

Tak nierad był pan Rajmund gościom, iż zapomniał o obowiązkach dwornego gospodarza. Zamiast przed bramą zamkową, jak nakazywał obyczaj rycerski, czekał na nieproszonych przybyszów w sali.

— Dwóch pielgrzymów na łodzi rybackiej przybiło właśnie do brzegu, Wasza Miłości — oznajmił burgrabia.

Zamek rycerski, któryby zamknął bramy niegościnnie przed pielgrzymami, byłby zniesławiony na zawsze. Przeto rzekł pan Rajmund:

— Błogosławieństwo Boże wchodzi z pielgrzymami do każdego domu chrześcijańskiego. Powitajcie świątobliwych wędrowców w przystani z wszelką pocziwością!

I wyszedł sam na dziedziniec. Kiedy wrócił, prowadził za sobą dwóch mężów w dłu-

gich, szarych sukniach, obszytych u dołu muszelkami. Na ramionach nieśli pielgrzymi tak grube gałęzie palmowe, iż mógł się w nich schować miecz ukryty; przy boku mieli wydrążone dynie, zawieszane u pasa, skręconego z powrozu. Jeden z nich, starzec z siwą brodą, nie zdjął z głowy kapelusza, którego szerokie skrzydła, spuszczone na dół, zasłaniały mu twarz do połowy.

— Wybaczcie mojemu towarzyszu jego niedworność — odezwał się pielgrzym drugi, młody brunet z czarnym, w górę podkręconym wąsikiem. — Uczyniony ślub przykleił mu kapelusz do głowy i zamknął mu usta na pół roku. Zdjąć kapelusza i mówić mu nie wolno.

Nikogo ten ślub nie zdziwił, pielgrzymi bowiem nakładali sobie różne, często bardzo dziwaczne umartwienia. I nikt nie zdziwił się także, kiedy pielgrzymi nie chcieli oddać służbie gałęzi palmowych.

— Z drogi dalekiej wracacie, pobożni mężowie, — rzekł pan Rajmund, poznawszy po sukniach, obszytych muszelkami i po gałęziach palmowych pielgrzymów z Ziemi Świętej. — Raczcie wypoczywać jak najdłużej pod moim dachem, byście nabrali sił do dalszej wędrówki!

Nie pytał, dokąd idą, kim są, jak się nazywają, dlaczego zoczyli z gościńca perpinińskiego i zastukali do jego bramy. Suknia pielgrzymia chroniła przed zbyt natrętą ciekawością.

— Nie nadużyjemy waszej gościnności, panie rycerzu — odpowiedział młodszy pielgrzym. — Pomodliwszy się w waszej kaplicy, jak nam ślub nakazuje, ruszymy jeszcze dziś przed wieczorem w dalszą drogę.

Służba przyniosła tymczasem pieczoną rybę, chleb, miseczkę białego grochu i wino.

Wiadomości z Ziemi Świętej obchodziły zawsze bardzo żywo rycerzów francuzkich. Wszakże miał każdy z nich na dalekim Wschodzie drogę mogiły, ojca, dziada, lub krewnego, który zginął za górami, za morzami w obronie grobu Zbawiciela. O walce pod murami Jerozolimy marzył młody junak, gdy mu przypinano do białych butów złote ostrogi; do Palestyny po odpuszczenie grzechów spieszył kruchy starzec, kiedy mu lata sędziwe wytrąciły miecz z wędnącej ręki i przypominały blizki sąd Boży.

Bardzo chętnie byliby panowie posłuchali opowieści o ostatniej wyprawie krzyżowej, ale pielgrzymi milczeli. Starszy pił małemi haustami wino, wpatrzony z pod skrzydeł kapelusza w panią Azalais, młodszy zajadał z wielkim apetytem chleb i rybę.

Podpadło panu Bertrandowi, że pani Azalais, zamiast służyć niezwykłym gościom, siedziała nieruchoma, jakby przykuta do krzesła i zastanowiły go spojrzenia niemego pielgrzyma. To nie były znużone, obojętne spojrzenia starca. Bił z nich blask młodości, zmieszany z żalem, z jakimś serdecznym wyrzutem. A pani de Gruissan rozumiała widocznie mowę tych oczu, mieniła się bowiem w ich promieniach.

Uważniej zaczął się teraz pan Bertrand przypatrywać siwej brodzie starszego pielgrzyma. Była doskonale przyprawiona, ale

bystry wzrok podejrzliwej ciekawości odkrył koło uszu pasemka czarnych włosów.

Lisi uśmiech przesliznął się po ustach pana Bertranda.

— Tacyście to wy pielgrzymi? — pomyślał i przysunął się bliżej do starszego pątnika.

Ten jednakże, zmiarkowawszy, że go ciekawe oczy śledzą, podniósł się nagle, opuszczając gałąź palmową na kamienną posadzkę.

Do uszu pana Bertranda doleciał tak wyraźnie cichy, stłumiony brzęk stali, że się szybko cofnął.

— Miecze mają w wydrążonych gałęziach — przebiegło mu przez głowę.

A że nie lubił zawierać bliższej znajomości z mieczami, przeto wołał zachować swoje spostrzeżenia dla siebie. Pielgrzym mógłby zrzucić z siebie szarą suknię i cisnąć mu pod nogi rękawicę, a on, rycerz de Sizean, musiałby ją podjąć, do czego nie miał wcale ochoty. Zrozpaczeni kochankowie bywają w pojedynku niebezpieczni.

Bardzo słodkim głosem odezwał się do młodszego pielgrzyma:

— Podoba-li się tak Waszym Pobożnościom, to każę otworzyć kaplicę.

— Będziemy Waszej Miłości wdzięczni, albowiem słońce zbliża się już ku górom, a chcielibyśmy być przed jego zachodem na jeziorze, — rzekł drugi pielgrzym.

Sam pan Rajmund przeprowadził gości do kaplicy, gdzie ich pożegnał, nie chcąc im przeszkadzać w wykonaniu pobożnego ślubu.

Wieczna lampa, pałająca się przed skromnym drewnianym ołtarzem, rozpraszała mroki, za legające kaplicę, urządzoną w okrągłej baszcie pałacu, oświetloną tylko jednym okienkiem. Chłód piwnicy powiał na pielgrzymów, kiedy zasiedli w ławce, umieszczonej przy drzwiach malutkiej zakrystyi.

Czas dłuższy milczeli, zatopieni w cichej modlitwie, potem odezwał się młodszy półgłosem:

— Do niebezpiecznej przygody namówiłeś mnie, Rogerze.

— Po raz pierwszy dowiaduję się, że trubadur Pont de Capdenil unika niebezpiecznych przygód, — odpowiedział ten, który miał milczeć przez pół roku.

— Wiesz dobrze, iżbym jegomości Lucyperowi nie ustąpił z drogi, gdyby mu się podobalo skrzyżować miecz piekielny z moim, ale nie lubię bić się z chłopami. Widziałem na dziedzińcu zbrojnych pahołków, którychby gospodarz nie omieszkał na nas puścić, gdyby wiedział, z jakim ślubem przybyliśmy do jego wodnej nory. Walka z czeladzią służebną hańbi miecz rycerski.

— I mnie nie sprawiłaby walka z nieświadczoną w sztuce orężnej gawiedzią żadnej przyjemności, tęsknota jednak była silniejsza od mojej dumy rycerskiej. Chciałem ją jeszcze raz zobaczyć, chciałem jeszcze raz spojrzeć w te oczy, które umiały patrzeć w moje serce, aż na jego dno, aż tam, gdzie panował jej obraz, ukochany, droższy nad wieńce, zdobyte na turniejach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## MOJEMU BOGU.



Z porannym świtem -- mój Ojcie i Panie,  
Nim tarcza słońca złoty wschód oświeci,  
Mój duch z modlitwą pod stopy Twe leci,  
On ze skowronkiem wyprzedza świtanie!...  
Gdyby mu arfa z tej przędzy słonecznej,  
Co morzem tęczy złoci sklon błękitu,  
On by Cię wital hejnałem przedświtu --  
Niedościgniony... Przedwieczny!...

Różowa zorza płynąc przez konary,  
Cudowne blaski zlewa w ciemne gaje --  
Twój brylant -- Boże! -- złote słońce wstaje,  
Więc ja swe serce wznoszę -- pełne wiary  
Do Ciebie -- Ojca!... Czytając, jak z księgi,  
Z barw, blasków Twoich i z ziemi -- i słońca  
Że niema cudom rąk Twoich potęgi  
Granic -- ni końca!...

Zielone lasy Tobie grają pieśni,  
Do wtóru w górach szumi im kaskada,  
Tobie rozkwita jaskier -- lilia biała,  
Tobie się spiewem ptacy modlą leśni,  
Wonieją łąki!... Tobie cisza błoga  
Zielonych dolin!... Zdrój pacierze dzwoni,  
A ja w nich Kocham ślad Wszechmocnej dłoni  
Mojego Boga!

Boże!... Tyś sypał gwiazdami, jak żwirem  
Twe drogi!... słońce Tyś rozpalil strażnice,  
Wiecznego ruchu opasał się wirem  
I drząc na głos Twój -- patrząc w Bozkie lice,  
Tobie się modli każda gwiazda gromada,  
Boś Ty je wywiódł z prochu, dał granice;  
Skiniesz -- zginęła i w proch się rozpada!...  
-- U stóp Twych -- drzemią mgławicel!...

Czy w mowie ludzkiej, czy w pieśniach aniołów  
Są głosy moc Twą opowiedzieć? -- Boże!  
Lecz Tyś mej myśli dał skrzydła sokołów,  
Więc ja te skrzydła u stóp Twoich złożę  
I modlić będę Ciebie -- pieśni łzami,  
Byś serca nasze w łaski omył zdroju!  
Byś zesłał z bozkiej ciszy nad gwiazdami  
Na ziemię... promień pokojul!...

*Adela Koneczna.*



## HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

*Julię Terpińską.*



(Ciąg dalszy).

Bierna i nie wiele znacząca Teresa hiszpańska zaznała dzięki jej wpływom trochę lepszej doli, choć przy końcu pożycia -- gdyż wkrótce potem w sile wieku zmarła. Wpływy te były przeważnie natury religijno-moralnej i trafiały na głęboki pokład wiary, który Ludwik miał na dnie duszy, lecz namiętnościami przywalony. Pani de Maintenon, -- gdyż wdowa Scarrona to nazwisko przyjęła od nadanej sobie majątności, -- urabiała duszę królewską powoli, cierpliwie, nieznacznie, ale skutecz-

nie, a Ludwik poddawał się temu może nieświadomie, ale łatwo i chętnie. Miał on to usposobienie niektórych ludzi energicznych i samowolnych względem wszystkich, którzy dają się wodzić jednej tylko ręce miękkiej i delikatnej, zwykle kobiety, chociaż niekoniecznie kochanki, którzy lubią mieć jedną bliską duszę, aby przed nią swoją duszę trzymać otworem. Taki, przeważnie platoniczny pociąg, zawładnął -- po wypaleniu się młodych namiętności -- całą uczuciową sferą Ludwika ostatecznie i stale, i stał się mu tak niezbędnym dla zaspokojenia potrzeb jego serca, że król-słońce zrobił rzecz w ówczesnych warunkach wprost niemożliwą, a w każdym czasie niesłychaną -- poślubił ważnie i prawdziwie, chociaż rozumie się morganatycznie, kobietę dla każdego z jego dworzan za mało znaczącą, a w dodatku nawet za starą, gdyż pani de Maintenon była o parę lat starszą od króla i z dawnej piękności już tylko ślady zachowała; zatem ten nadzwyczajny megalians nie tłumaczył się nawet zwykłym sposobem -- wielką namiętnością jednej strony lub zręczną intrygą drugiej.

Dziwne to małżeństwo -- najdziwniejsze może jakie się kiedykolwiek wydarzyło na tronie, było bardzo szczęśliwe -- dla męża. Żona musiała najzupełniej zapomnieć o sobie, poświęcała się dla wielkiego monarchy tak samo, jak niegdyś dla kaleki Scarrona, zabawiła, rozweselała, doskonaliła, prowadziła swoje olbrzymie dziecko, które ani chwili nie mogło się obejść bez jej rozmowy, troskliwości, pamięci, gdy ona kryjąc fizyczne dolegliwości, i nudę, i znużenie, na wysokości wpiętych marzeń dla niej niedościgłej, wdychała w tajnikach serca za nadewszystko miłym jej usposobieniu zacisznym klasztorzem, gdzieby mogła oddać się bez przeszkody wychowywaniu młodych dziewcząt, -- gdyż nauczycielką była z powołania i do szpiku kości. Skorzystała też ze swej wszechwładzy, aby założyć wzorowy pensjonat panieński -- dla córek zasłużonej szlachty w Saint-Cyr pod Paryżem, i urządzając go, układając plany i programy, a czasem nawet osobiście w nim nauczając, może jedyne prawdziwe szczęśliwe chwile miewała przez trzydzieści lat swego pożycia z przepięknym małżonkiem.

To bezprzykładne wyniesienie skromnej nauczycielki na małżonkę pierwszego w świecie monarchy, wprawdzie niby potajemną, ale jawnie szanowaną tak prawie, jak gdyby koronowaną była, wzbudziło jej naturalnie wielu niechętnych. Zazdrość kobieca łatwiejby była strawiła małżeństwo króla w szale namiętności z jakąś nadzwyczajną, choć nie wiele wartą pięknoscią z za kulis wielkiego świata; gdyż nic tak nie upokarza kobiet małej wartości, jak tryumf kobiety wyższej miary, nie dla jej wdzięków, lecz dla zalet duszy i umysłu. Mężka zaś zawiść głęboko była w pysze swej zranioną, że pierwsze miejsce przy królu dostało się nie doradcom z pomiedzy dworskich panów, lecz osobie przez nich lekceważonej, lub za ledwo protegowanej. Miała więc pani de Maintenon niezyciowych wielu, i ci sprawili, że do niedawna jeszcze trudno było z mnóstwa sprzecznych zdań, znajdujących się w pamiętnikach, korespondencych i innych dokumentach panowania Lu-

dwika XIV-go, wydobyć czystą prawdę o najznakomitszej kobiecej postaci tego panowania. Chwalców miała względnie nie wielu, gdyż zawsze z tą samą pokorną abnegacją, trzymając się ile mogła w cieniu, niczem pochlebstwa nie zachęcała; obmowa zaś niechętnych, nie mogąc znaleźć tematu w nieskazitelnej moralnie pani de Maintenon, cofała się w przeszłość i wyszukiwała plam na reputacji młodej niegdyś żony niedołęznego biedaka. Obecnie, wobec obfitości wciąż odnajdywanych materiałów historycznych i gruntownych studyów nad niemi, coraz mniej do rozwiązania pozostaje szarad i logogryfów przeszłości, a wśród wielu innych, do niedawna zagadkowych, postać Franciszki d'Aubigné rysuje się już przed nami konturem pełnym i wyraźnym, na którym ani jedna poważna skaza etycznej natury zauważyć się nie daje. Jedyna słabostka w tym kierunku, którą zarzucić jej można, to poufale obcowanie z kobietami takiej opinii, jak markiza de Montespan, a przedtem jeszcze Ninon de l'Enclos.

Ta ostatnia słyneła więcej, niż przez pół wieku nie tylko w Paryżu, lecz w całym zachodnim świecie niezrównanym czarem swego wdzięku i świetności swego umysłu, była nieledwie pierwowzorem towarzyskiej kultury i kobiecej salonowości. Nie tylko wszyscy dworscy dygnitarze, ale nawet niektóre wielkie damy składały jej hołdy w jej czysto ateńskim salonie, bez względu na to, że ta przemiła i przemądra Atenka za wzór sobie obrała Peryklesowskie hetairy, i dowcipkując lub filozofując na temat etycznych przesądów ery chrześcijańskiej, jawnie prowadziła życie pod względem moralnym pogańskie, nie tylko wciąż mając i wciąż zmieniając najbliższych wielbicieli, ale nawet utrzymując się i zbytując ich kosztem. Raz nawet doszło do tego, że surowo moralna królowa Anna Austrijska (matka Ludwika XIV-go) kazała ją po jakimś głośniejszym epizodzie zamknąć w klasztorze Magdalenek, z kądem ją za ledwo po pewnym czasie starania wpływowych przyjaciół wyswobodzić zdołały.

Nie dziw za tem, że młodzianka pani Scarron wpadła w jedwabną sieć uroku tej czarodziejki, która nawet królowę Krystynę szwedzką po jednym tylko widzeniu się oczarować potrafiła. W stosunkach zaś jej z markizą de Montespan, główną rolę grała pobożna nadzieja uratowania duszy grzesznicy dla nieba. I rzeczywiście pyszna markiza, po opuszczeniu jej przez króla, zranioną swą dumę -- tak, jak jej poprzedniczka zranione uczucie -- ukryła w murach klasztornych, gdzie podobnie jak przedtem panna de la Vallière, oddała się na resztę życia surowej pokucie za występki swej młodości.

Obie te słynne faworyty wielkiego króla nie były gruntownie zepsutymi. Upadły nie bez rozpaczliwej walki z potężną pokusą, a rehabilitowały się pokutą, będąc jeszcze w pełni swoich wdzięków -- mogąc spaść niżej. Bo na ogół biorąc, zepsucie obyczajowe XVII-go wieku nie kaziło jeszcze dotkniętych niem osobników doszczętną zgnilizną -- jak później; było to dopiero pierwsze stadium demoralizacji -- rozkiełznanie namiętności, po którym miała przyjść z kolei w wieku XVIII

najgorsza faza — wyrafinowany, chłodno-rozwiązywały libertynizm.

Z zarzutów czynionych pani de Maintenon, więcej miały prawdopodobieństwa te, które czyniły ją odpowiedzialną za egoistyczną politykę Ludwika XIV-go, który dla własnej korzyści lub tryumfów wyciskał Francję, jak cytrynę, i świetną pierwszą połowę swego panowania zaćmił nieudanymi kombinacjami drugiej, a ciągłymi wojnami, zbytkownymi wydatkami i bezwzględny despotyzmem kraj swój wycieńczał, zubożał i oburzał. Ale okazuje się także po sumiennem rzeczeniu, że pani de Maintenon miała w ręku tylko duszę monarchy, a wcale nie jego interesy; że wpływ jej wiele znaczył, gdy chodziło np. o dworskie stanowiska i benefisy, ale w sprawach większej wagi Ludwik był równie absolutnym mężem, jak królem. Wprawdzie pracował z ministrami swymi w pokoju żony, opowiadał jej przebieg spraw państwowych, a nawet zapytywał ją o radę, jednakże ani jej, ani niczyjem zdaniem nie rządził się w tej sferze swej działalności, w której jedyną dyrektywą była dlań jego mania wielkości.

To też pani de Maintenon poważne społeczne znaczenie posiadała naprawdę dopiero wtedy, gdy owdowiawszy, mając lat blisko osmdziesiąt, na pozostałe kilka lat swego życia zamknęła się w ukochanym Saint-Cyr, aby zająć się osobiście dyrekcją zakładu. Dziwnem zrzędzeniem dziwnego swego losu, dopiero wtedy i tylko wtedy spełniła prawdziwe powołanie swojego życia, kształcąc w duchu swych przekonań pokolenie przyszłych obywateli, matek i chrześcijanek.

Zakład wychowawczy w St-Cyr był na swoje czasy bardzo pożytecznym, gdyż niezbędną wówczas salonowość dodawał swym wychowanicom tylko jako okrasę, na pierwszym planie stawiając kierunek religijno-moralny, jako też praktyczność domową. Właściwa nauka stała na planie trzecim i zakres miała szczupły, o samodzielnem wyrobieniu i mowy nie było; nie wyszły więc ztamtąd żadne nowe prądy, posuwające naprzód kwestyę społecznego stanowiska kobiety, ale wychodziła ztamtąd corocznie garstka kobiet dobrze przygotowanych do spełnienia swego zadania w zakresie obowiązków rodzinnych.

W tym samym duchu napisanym był najpopularniejszy i zapewne najpierwszy w tak poważnym zakresie traktat o wychowaniu dziewcząt, przez Fenelona. Niezwykle świątliwy i szlachetny, zarazem ściśle prawowierny i szeroko liberalny biskup Kambrezyjski określa w nim stanowisko religijne, etyczne i przyrodzone kobiety w sposób, mogący być dla niej kodeksem moralnym po wszystkie czasy, ale w traktowaniu jej stanowiska umysłowego i obywatelskiego nie wyprzedza poglądami swemi pojęć, a nawet przesądów epoki.

Wysiłki szlachetnych umysłów, dążących do umoralnienia kobiety — a przez nią rodziny — a przez tę społeczeństwa — nie wiele przyniosły owoców; rozplywały się w coraz rozlewniejszym morzu powszechnego zepsucia. Kobieta ma niezaprzeczenie wielki wpływ na uobyczajenie społeczne, ale to tylko wtedy

gdy mężczyzna chce ją widzieć w odnośnej roli. Gdy ten nie marzy o „ducha męskiego niewieścim aniele,“ lecz przeciwnie, największe okazuje upodobanie w niewieścim typie odaliski lub hetairy, wtedy kobieta urabia się na obraz i podobieństwo jego pożądań, — i wtedy to staje się jej największa z krzywd społecznych, jakie ją spotkać mogą — zdeprawowanie kobiety przez mężczyznę.

Widownią takiej krzywdy w dziejach nowożytnych świata cywilizowanego, był co do czasu wiek XVIII-ty, a co do miejsca przewszystkiem dwór francuzki, stanowiący podówczas najwyższą szkołę zepsucia dla całej oświeconej Europy.

Półwiekowe panowanie Ludwika XV-go rozwinęło i doprowadziło do potęgi wszelkie choroby społeczne, które rozpoczęły rozkład organizmu państwowego w epoce jego poprzednika. Błędna polityka zewnętrzna, wadliwa administracja wewnętrzna, wzajem sobie dopomagały do przyspieszenia ruiny, a czynnikiem, podkopującym najgłębiej społeczną budowę, była uprawniona niesprawiedliwość przesądów stanowych. W niepojętej dziś dla nas aberacji zdawało się zupełnie szczerze ludziom *dobrze urodzonym*, że przez sam tylko fakt swego przyścia na świat otrzymali wszystkie przywileje życiowe na wyłączną własność, że ich naturalnem prawem jest tuczenie się za darmo wytwórczością innych warstw ludzi, że obdzierając je z ostatniej koszuli dla swych wyuzdanych zbytków, nie im za to nie są winni, prócz słusznej pogardy dla ich niższości. Gdy coraz bezczelniejszy wyzysk człowieka przez człowieka dopełniał już miary bojaźliwej cierpliwości wyzyskiwanych — i ci coraz bardziej zaciskali spętane pięście, wyzyskiwacze nie raczyli ani okiem rzucić w ich buntujące się dusze, i z najwyższem lekceważeniem koniecznych następstw dziejowych darli dalej żywą skórę z tych, którzy jeszcze wprawdzie przypadali do ziemi dawnym ruchem kopanego psa, ale w tym ruchu było już czajenie się drapieżnej bestyi, która za chwilę skoczy do gardła.

A gdy tak działały te pierwszorzędne pierwiastki rozkładowe, przy robocie zniszczenia stróżowało zwyrodnienie moralne, nie dopuszczając żadnych zdrowotniejszych wpływów. Bo wszelka choroba społeczna bywa uleczalną tylko dopóty, dopóki jej nie skomplikuje zepsucie obyczajów. Nadużywanie niskich uczuć tak zamaça umysł i osłabia wolę, że niewolnik własnych chuci nie może już być panem życiowych trudności, ani okoliczności zewnętrznych. Jak osobnik, tak samo społeczność drogą rozkiełznania obyczajowego dąży do zdziczenia narodowego charakteru lub zniedołężnienia energii zbiorowej, a rozluźnieniem zmysłu moralnego w sferze popędów sprowadza zanik etyczny w sferze uczuć obywatelskich — ostateczną przyczynę upadku społeczeństw lub sfer społecznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Dobrodziejstwa wulkanów.



Wody mineralne, źródła gorące, miejsca kąpielowe! ... wielu z pośród nas udaje się do nich, szukając poratunku dla zdrowia, lecz ilu też korzystając z rozlicznych uzdrawiających własności tych wód dobroczynnych, zapomina, że wdzięczność za nie należy się... wulkanom!

Czy podobna, by wulkany były pożyteczne? czy podobna mówić bez paradoksów o dobrodziejstwach tych straszliwych potęg, które nas napelniają trwogą swemi wstrząsającymi wybuchami? Na to właśnie pytanie chcemy dać odpowiedź, rozbierając naukowo prace, jakie się odbywają na naszą korzyść w tych kuźniach olbrzymich, w tych piecach wielkich, w których ogień zapala i podtrzymuje natura sama.

Taine w swoich podróżach po Włoszech opisał w rysach prawdziwych i świetnych widok, który się przedstawia z tarasów zakonu San-Martino, wzniesionego po nad zatoką Neapolitańską. „Ztamtąd widzi się Neapol w całej jego długości, a szereg domów białych ciągnie się aż do stóp Wezuwiusza; wkoło zatoki pochyły brzeg obejmuje morze niebieskie... Wprost cała zatoka, małe żagle statków, Monte-San-Angelo, Wezuwiusz dymiący.“

Góra dymiąca!... oto, jak sobie zwykle wyobrażamy wulkan. Lecz niema dymu bez ognia, a z drugiej strony, w naturze niema nic bezpożytecznego. To też ogień palący się na dnie wulkanu, nie jest ogniskiem bezpożytecznym, lecz przeciwnie, jest to kuźnia, pracująca bez ustanku, jest to jakby fabryka olbrzymia, jakby laboratorium niezmierzonej wielkości, gdzie się topią, oddzielają, czyszczą ciężkie metale i materye kosztowne, przewyższające o wiele produkcję dzienną naszych wielkich pieców i naszych fabryk chemicznych.

Gdy komin wulkanu, — o mało że nie powiedzieliśmy fabryki — funkcjonuje normalnie, wszystko idzie dobrze, lecz jeśli, w skutek jakiegokolwiek przyczyny, w kanale utworzy się przeszkoda, gdy się otwór zatka, wówczas nacisk pary i gazów wytwarzanych wewnątrz, nie mając drogi do ujścia, wzmagają się bezustannie; wkrótce wszystko pęka, komin się druzgocze, góra się roztwiera, i masa metali rozpuszczonych, lawa rozpalona i wrząca wybucha, wylewając się z łoskotem.

Mając w pamięci straszne klęski, sprawione przez wielkie wybuchy wulkanów, przypisujemy im jedynie siłę złą, wszelako zastanówmy się nieco: każdy wybuch fabryki jest katastrofą, lecz czy dlatego, że w pewnej chwili zdarzyło się nieszczęście w jednej z nich, wyrzekniemy się niezawodnych korzyści, ze wszystkich pożytecznych fabryk?... Takie samo ryzyko przedstawia wybuch wulkanu, tej naturalnej fabryki, w której się topią, kuja dla naszej korzyści, ogromne masy materyałów, z których czerpie sztuka i życie. Jeżeli się wyklina wulkan dla jego złych czynów przypadkowych i przejściowych, czyż to powód, by nie uznać jego dobrodziejstw nieustających? Wulkan stale wyrabia dla nas te materyały pierwszej potrzeby, to znów przedmioty zbytku, jakby się wysilał w przysługach dla nas.

Uczeni uznają te dobrodziejstwa, a jeszcze przed nimi przeczuwali je poeci. Uderzeni nieustającymi podziemnymi hałasami, gwałtownymi wstrząśnieniami, niepokojem, który się ujawniał w łonie góry wrzącej, wyobrażali sobie, że w tych głębinach nieznanymi pracowali Cyklopi, niezmordowani robotnicy bożka ognia — Wulkana.



wdzięczamy? By to wypowiedzieć, musieliśmy przedstawić sobie w wyobraźni: czembysmy byli na ziemi bez ich dobrodziejstw. Najpierw, gdyby wszystkie metale i wszystkie kamienie drogocenne nie były uformowane, skryształowane, uporządkowane w tajemniczych pracowniach podziemnych, wszystkie materiały, z których mamy pożytek, pozostałyby w stanie bezkształtnego płynu we wnętrzu ziemi, na zawsze niedostępne. Nie mielibyśmy ani złota, ani żelaza, ani dyamentów, nie mielibyśmy nafty, paliwa tak niezbędne, wreszcie nie mielibyśmy pewnie i węgla, którego pokłady głębokie znajdują się zazwyczaj w miejscowościach wstrząśniętych i poszarpanych przez częste działanie wulkanów.

Jak widzimy z tego zarysu, badanie wulkanów dowodzi jednocześnie harmonii natury i przedsiębiorczości człowieka. W systemie świata najróżnorodniejsze siły nie ustają w pracy. Na pierwszy rzut oka wydają się one nie tylko ślepe i nieświadome, lecz i złowrogie. Wtedy to człowiek występuje, by je opanować na swoją korzyść i zamienić je na siły dobroczynne.



Aniela Tripplinówna.

## Z pobytu na dalekim szlaku.



(Ciąg dalszy).

Minęło 20 minut programowego spaceru po salonie. Zbliżył się czas uczty weselnej. Konsulowa zachęca do powrotu do domu. „Jedźmy — mówi do doktorowej, — nie mogę obojętnie patrzeć na ten przepych, wiem równie dobrze, jak mąż pani, ilu to ludzi mrze głodem w ich majątkach, podczas gdy oni tak rzucają pieniędzmi.“

Ku naszemu wielkiemu żalowi znikają obie panie, a tymczasem jeden dzwonek daje sygnał do kuchni, drugi do przyległego pokoju, gdzie od godziny dziesięć pieśniarek starych i młodych wyczekuje na zaintonowanie weselnych hymnów arabskich. I oto ku naszych europejskich uszu największemu udręczeniu, rozbrzmiewa w najpowolniejszym adagio i w najcichszym pianissimo melodia narodowa, monotonna (na trzy lub pięć, nie zaś jak u nas na cztery podzielona) bez żadnego rytmu, żadnej modulacji, majacząca takt około kwadransa i nagle bez żadnej zmiany w tonacji, ani w słowach, crescendo i przyspieszonym tempem przechodząca w dzikie jakies allegro — w namiętny, spazmatyczny krzyk, zdolny spiących snem wiecznym rozbudzić.

Pieśniarki owe nucają ody pochwalne na cześć miłości, hymenu, a biesiadnicy tymczasem rozdzielają się na dwa obozy. Dwa wesela, dwa stoły w dwóch salonach. Panny młode rozłączone. Dwóch księży zostaje w orszaku państwa M., dwóch towarzyszy państwu F. Dla nich rezerwowane honorowe miejsca. Majestatycznym krokiem — za rękę się trzymając, parami, zawsze parami, postępują naprzód matrony, babki, matki, ciotki, panny, po nich dopiero panowie i kawalerowie. Pannę młodą prowadzą dwie drużki za ręce, dwie drugie dźwigają jej ciężki per-

łami i brylancikami wyhaftowany tren i zasiadają koło niej, aby jej usługiwać. Pana młodego prowadzą drużbowie i ceremonialnie podsuwają mu wysoki, honorowy fotel, ozdobiony mirtem i gałązkami kwiatu pomarańczowego.

Wszyscy już siedzieli, nagle znów z miejsc powstali — i cisza kościelna zapanowała w salonie. Księża znakiem krzyża błogosławili towarzystwo, wszyscy kornie dłonie do modlitwy złożyli. „Ojeze Nasz“ po arabsku i po francuzku popłynęło z ust Jezuity Araba i Jezuity Francuza — „Abuna“ i „Notre Père“ w jednym pokoju, podczas kiedy w drugim „Ojeze Nasz“ po francuzku zlewa się z „Pater imon“ w grecko-katolickim języku. Ta różnorodność językowa jest konieczna, bo nie wszyscy starzy mówią po francuzku, połowa zaś zebranych gości była wyznania grecko-katolickiego.

Po modlitwie i pieśniach, świętecznie przyodziani saïswie roznoszą zakąski, likiery i araki. Na telegraficznie obstalowany obiad pierwszej klasy po 12-ie franków od osoby, liczący czternaście potraw arabskich i francuzkich, złożyło się chyba wszystko, co wydają lądy, lasy i morza wszystkich części świata. Cześć dla księży jest u Arabów tak wielka, że od nich, a nie od panny młodej przechodzą półmiski do reszty towarzystwa. Na ich cześć także wnoszą Ojcowie pierwsze toasty cypryjskim i palestyńskim wyborowym winem. Mów prozą, ani rymowanych nie słyży się wcale, jeno co chwila: *Hanijan, Hanijan!* (odpowiadające europejskiemu *Prosit!*) obija się o nasze uszy i zamiast toastów na cześć państwa młodych, w jednym i drugim salonie „*Allah jukhalitha Abuha,*“ (Niech Bóg jej ojca błogosławi).

Słowa te wymagają bliższego objaśnienia. Myśl tych słów bowiem jest charakterystyczną, jedyną w swoim rodzaju i wyrzeźbioną, że tak się wyrażę, w granicach, olbrzymimi głoskami podrzędność kobiety wschodniej. Nawet w dniu jej królewskości kontrabandą tylko pije się jej zdrowie. Gdyby ci obaj przy stole siedzący ojcowie żenili synów, płynąłby toast po toście na cześć nowożeńców, założycieli nowej dynastii, lecz że oni mają nieszczęście obchodzić wesele córek, *tylko córek*, więc zwyczaj i tradycja pozwalają wznosić jedynie toast za zdrowie ojca tych upośledzonych istot.

Tempem presta przebiega obiad. Z jednej strony Jezuci są tak bardzo zajęci, że długo bawić nie mogą, z drugiej — listopadowe słońce wcześniej do snu się układa, a tradycja (zawsze tradycja) żąda, aby panna młoda z orszakiem pokazała się w toalecie ślubnej w parku Rustem-baszy, który jest laskiem Bulońskim Beyrutu, o trzy wiorsty za miastem położonym. Wykroczyć w czemkolwiek przeciw tradycji, znaczy szukać nieszczęścia dobrowolnie.

O wpół do czwartej zatem, zastąpiwszy welony świeżutkimi paryżkimi kapeluszkami i białymi pluszowymi mantylkami, obie panny młode zjawiają się znów w salonie, a za nimi damy w kapeluszkach, koronkach na głowie i dziewczynki w pasterkach i białych jedwabnych beduinach.

Też same karety i powozy unoszą gości

weselnych ku ogrodowi, gdzie grzmi orkiestra wojskowa, której *beau monde* słucha, nie wysiadając. To pseudo-słuchanie fragmentów oper włoskich, marszów tureckich i melodi arabskich, jest właściwie wszechpopisem damskich strojów, a że dnia onego balbecy goście mają się czem pochwalić, więc stangreci wciąż słyszą: *jella, jella!* (prędzej, dalej!). Pomimo tłumów zalegających place i ulice i nieustrudzenie krzyczących: *Aris! Arus! uzlea ktir!*, powozy pędzą dalej. Tylko dwa ostatnie z młodemi małżonkami — ciągiem wstrzymywane *ritenutem*, zupełnie oderwane od orszaku weselnego. Przeciw temu *ritenuto* sam generał-gubernator byłby bezsilnym, tak wielką jest powaga tradycji i potęga zebrań, żądających daru: „Bakszysz, bakszysz, Ytini bakszysz!“ (Daj mi prezent!). Nie proszą i nie dziękują, tylko wołają o spełnienie obowiązku. Drużbowie wiozą worki miedzianych monet, t. zw. *baszłyków*, ciężkich, ogromnych, a tylko trzy susy wartości przedstawiających. Nieustraszeni ulicznicy wskakują na stopnie powozów i garściami całami czerpią sami, gdzie się da zaczerpnąć. Ślepy, których niestety, moc jest na Wschodzie, po sześciu, po dziesięciu razem, trzymając się za ręce, z dziwną odwagą i zręcznością przeciskają się wśród tłumy, wołając: *bakszysz!* Policja nie rozpędza, tylko pilnuje porządku. Nasi młodzi małżonkowie jadą z kilkunastu workami *baszłyków* i dwoma piastrow, ładnych srebrnych monetek, wartości 25 centymów. Niech-że pamiętają beirutscy nędzarze, że to żenił się Mutran i Farah! W drodze powrotnej z parku pieniądze były jeszcze rozrzucone.

Zaledwie nam znikły powozy z przed oczu, poczciwy nasz gospodarz zwrócił się do nas, mówiąc: „Jeśli panie pragną poznać ceremonial całego dnia, radzę zjeść obiad i odpocząć. To nie koniec festynu, wyjazd na spacer. Będziemy jeszcze mieli oczepiny i cukrową kolację i znów zmianę dekoracji w toaletach żeńskich i męskich. Na pierwszy sygnał powrotu, saïswie zapukają do drzwi i obudzą panie.“

Poszliśmy naturalnie za radą pana B., pożyliśmy się i zasnęły.

Nie potrzebowali atoli saïswie stukać do drzwi naszych. O wpół do szóstej obudził nas turkot powozów i gromkie: *Aris, Arus, uzled ktir, ktir szy ktir* (bardzo dużo), a niektórzy żartobliwie krzyczą: *beni mija* (synów stu). Biedacy zadowoleni z bakszyszków, radość swą manifestują życzeniami. Życzenia przeprowadzają nowożeńców aż do drzwi sypialni. Panie spieszą, tradycja wymaga, żeby w chwili zachodu słońca drużki zmieniły toaletę młodej mężatki, rozczesały jej włosy i po raz pierwszy ozdobiły je czepeczkiem.

Nie było czasu na wypoczynek, trzeba było się czempredziej rozbierać, bo tu słońce nie rozegrywa tak, jak u nas długiego koncertu, żegna się z ziemią najciudniejszemi barwami, ale presto, prestissimo. Stoimy na werandzie i czekamy na owo pożegnanie. Zatoka płonie purpurą, horyzont fioletową i liliową gazą się przysłania, gdzie nigdzie tylko turkusem i koralem różowym obłoczek wymaluje, już szmaragdy Libanu srebrem błyszczą, bo z po za gór, z po za skał wynurza się wielka no-

cna gwiazda, a białe mewy coraz niżej nad falami się kołyszą, jak gdyby w chłodnej otchłani łoża szukały. Już, już lada chwila kochanek pożegna kochankę. Zegary nas zawieść mogą, lecz nigdy stróże mahometańskiej modlitwy. Tak! Panie spieszyć się muszą, tak! zachodzi słońce, z meczetów słodka, tęskna melodia ku ludziom i ku Allahowi płynie, przypomina, że *Allaħ uahed* (Bóg jest Jeden), że o Nim pamiętać trzeba, a już i dzwony kościelne dzwonią na Ave, w mieście, w dolinach i w górach. Milkną dzwony, milkną melodye muezzinów, a z fali morskiej, z błękitów, z ziemi, z powietrznej przestrzeni, zewsząd coraz wyraźniej, coraz harmonijniej, organowemi dźwiękami rozbrzmiewa ulubiona muzyka Byrona: „Ave, Ave Maria,“ słyszał on w lasach Ravnny o zmierzchu godzinie, kiedy dzwony zakolywały się w powietrzu i natchniony wołał:

„Ave Maria! o błogosławiony!  
Kraj lilii wonnych, róży wiecznie świeżej,  
Gdzie mnie o zmierzchu, srebrzystemi tony  
Budził z zadumy dźwięk kościelnej wieży.“

I poeta Albionu na dźwięk tego „Ave,“ klękał w górach, w lasach, i modlił się, on, który się nie modlił w świątyniach, i to „Ave“ grało mu w przestrzeni długo po słońca zachodzie. I ja to „Ave“ słyszę ciągle, chociaż płomienistej wstęgi już niema na zatoce, chociaż firmament już się gwiazdami wylłaca.

To „Ave Maria“ wielki, potężny wpływ na dusze ludzkie wywiera. Wszak na odgłos dzwonu wieczornego i z komnat, z których dolatywały nas przed chwilą głośne, puste śmiechy, nagle chórem rozbrzmiało „Ave,“ nie tylko z kobiecych, lecz i z męskich sypialni. Cisza rozkrólowała się wszędzie, widocznie wszyscy modlą się.

Tradycja wymaga cukrowej kolacyi. O wpół do dziesiątej, już w stroju wieczornym, w jedwabnych jasnych chałatach, wpadają młodzi małżonkowie z saïsami, niosącymi ogromne srebrne tace z różnemi łakociami i napojami.

Nie dowierzają chłopcom hotelowym, własną ręką rozstawiają cukrowe domy, pałace, kołyski z dziećmi, przeróżne figle i figielki kunsztu cukierniczego. A owoce? To nie owoce z drzew zerwane, to ogródki z krzewami, z drzewami, z trawnikami, z rabatami. Tu poziomki się uśmiechają, tam maliny na krzaczkach różowieją, banany, daktyle, śliwki swym ciężarem gałąź przechylają, tam znów nespłe rozkwitają. A każdy z tych owoców pieści jakiś przepiękny kwiat. Nie skończyłabym prędko, gdybym to, na co tam patrzyłam ze zdumieniem i zachwytem, miała opisać choćby w cząstce jakiejś.

Taką cukrową kolacyę i w królewskim pałacu zastawićby można. Prawda, że ręce Francuzów w Beyrucie osiadłych urzędowały to wszystko, lecz za takie areydziała pracy ludzkiej i w tanim Beyrucie drogo płacić trzeba. A konsulowa świeżo wspominała o wielkiej tutejszej nędzy. Serce ścisnęło się pomimo woli wobec tego zestawienia. Ci, co tak rzucają dzisiaj pieniędzmi, podobno nie są bardzo bogaci. Sami mówią, że są zmęczeni, że panie zmęczone, że nikt prawdopodobnie jeść nie zechce, a mimo to, o próżności i głupoto ludzka, wy jedne granic nie znacie! Trady-

cya każe, a przesąd dodaje, że gdyby dzień weselny nie zakończył się słodyczami, nigdy by nie zagościła słodycz matrymonialnego pozycia pod dachem nowożeńców. I oni temu wierzą. Ukończywszy rozstawianie, kazali zapalić wszystkie kinkiety, lampy, żyrandole. Salon płonął podwójnem światłem, bo i księżyc blaskami srebra zalewał komnatę. Obejrawszy wszystko obaj panowie młodzi małe pakieciki wyjęli z kieszeni i wsunęli pomiędzy serwetki dla małżonek przeznaczone.

Stukają dyskretnie do drzwi pokojów damskich. „Za dziesięć minut oczekujemy“—odzywają się. „*Tajib, tajib*“ (dobrze, dobrze),—słyszą odpowiedź.

Weranda otwarta, płyną ku nam blaski od morza, od nieba, od Libanu, od lamp elektrycznych z ulicy; płynie wonne powietrze od gajów i sadów, wśród których Beirut cały tonie. Wieczór ciepły, lipcowy. Tylko się na balkonie, patrzeć, słuchać i marzyć. Ale gdzie tu marzyć o marzeniu, kiedy spożywanie cukrowej kolacyi jest w programie. Panie są punktualne, jak zegarki. Punkt o dziewiątej otwierają się ich podwoje i zjawiają się wszystkie bez wyjątku w jedwabnych lub muslinowych szlafroczkach. Obie panny młode w białych adamaszkowych i nadzwyczaj strojnych czepeczkach, tak zręcznie podpiętych gwiazdkami brylantowemi i kwiatem pomarańczowym, że wyglądają ładniej, niż w ślubnych szatach. Pieśniarki znowu nucić zaczynają melodyę inną, lecz tak samo ciągle jeden i ten sam frazes muzyczny, bez żadnej modulacyi powtarzają na wpół sennie.

Ojcowie wchodzą w fezach, długich chałatach lub kostyumach libańskich, rodzaj bluzy fałdowanej gęsto i paskiem opiętej. Powitanie bardzo czule. Mężowie sami częstują i nalewają napoje. Nie tylko cypryjskie wino wyborowe, i lecz szampan szumi w dużych srebrnych i złotych staroświeckich puharach. Jest wszystko, oprócz ożywienia, humoru, tego, co Francuzi *entraîna* nazywają. Takiego znużenia, zgnuszenia dzisiejsi Arabowie nawet w dni godów weselnych udźwigać nie zdołni. Kobiety zwłaszcza, omdlewające prawie, siedzą za stołem. Najdzielniej trzymają się studenci i podlotki. „*Saheten*“ (podwójnego zdrowia) życzą jedni drugim i podwójnego szczęścia—wołają, toastując, lecz kieliszki drżą w rękę, cukry i owoce prawie nie znikają z talerzy. Jeden z uczniów medycyny przypomina świeżo u Jezuitów wyuczony wiersz Marmontel'a: „*Champagne, ami de la folie*“ („Szampańskie, przyjacielu szalu wesolego“) recytuje z werwą, wtórzy mu p. Bezil, lecz daremnie, na nutę szczerzej wesołości nikt się nie zdobywa. Jakiś nastrój uroczysty rozkrólowuje się w obu salonach. Ja patrzę, obserwuję i szepcę w ucho pannie i panu Bezil: „Budzą się Maurowie z Alhambry, z Sycylii, z Bagdadu, z Baalbeku.“

Inżynier odpowiada: „Zasypiają gnuśni Arabowie dzisiejsi, którym nie starczy nawet werwy na 34 godziny dnia weselnego. Patrz pani na to ogólne poziewanie. Wszyscy drzeją, nawet państwo młodzi! Tylko trzynasto- i czternasto-letnie kandydatki do stanu małżeńskiego dotrzymują placu i wtórują hymnom pieśniarek. Rubinowe naszyjniki znalezione pod serwetą, na sekundę tylko zele-

ktryzowały tak hojnie obdarzone młode mężatki.“

„Poduszki, poduszki!“—wołają wszystkie na wpół już przymknięte źrenice. Nie, takich drzemających oblubienic nigdy jeszcze Europa nie widziała.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## GODZINY PARYZKIE.



31-go Grudnia 1904-go r., północ. — Wielka biała sala jarząca od światła, co jak bukiety iskrzących kwiatów czepiają się wszystkich ścian, wykwitając ze splotów brązowych liści i kielichów... Palczaste liście ogromnych palm sztywnie wnoszą w górę swe zielone wachlarze... Jasne stroje, blask brylantów na obnażonych ramionach, gwiazdy, co drżą w splotach włosów, setki tonów, setki plam barwistych, wśród których czarne odcinają się fraki, rozjaśniono białymi plastronami, szmer rozmów i z głębi sali lekkie, powiewne, jakby echem niesione dźwięki walca. I pary krążą wolno, koronki i jedwabie szeleszczą, a nagle... światła gasną... i salę tęczowe zalewają tony. I w tym pół-zmroku oblani purpurą, w której sinawe tony załamują się na białych sukniach tancerek, krążą pary raz po raz błękitnym, to złotym zalane światłem.

Wszystkie języki mieszają się ze sobą w tym wielkim karawanseraju, gdzie spotkali się ze sobą przedstawiciele wszystkich krajów i ras. Z estrady, na której czerwone fraki artystów krwawo się plamią, dźwięki płyną cichsze, senniejsze, milkną. Służba krąży roznosząc chłodniki.

W czerwonych szarawarach, wyłocony i ugalonowany, murzyn sudański podaje w małych filiżaneczkach arabską kawę, gęstą i mocną, we wschodnim ukłonie gnąc się do ziemi.

Nagle orkiestra grać znowu zaczyna; namiętne dźwięki „Urty“ hiszpańskiej i na środek sali wybiegają dwie krótko ubrane dziewczyny. Prawie dziki ich taniec, szalony; wiją się, rzucają, to wolno krążą, lekko dzwoniąc tamburynem, to nagle rzuciwszy się w wir, suchym klekotem kastanietów towarzyszą sobie...

I znowu stubarwne leją się na nie blaski, a one wiją się w środku tej wielkiej sali, a w około nich ciekawie pochylają się piękne panie, jeszcze ciekawiej przypatrują się panowie.

Po nich wybiegają cztery Paryżanki w szalonym kankanie... witając rok nowy. Jeszcze się bardziej zacieśnia krąg widzów, a przed nami migają tylko nagie nogi tancerek w króciutkie pończochy przybrane.

I znowu walca płyną tony i wolno krążyć zaczynają pary, różnojęzyczne, różnoplemienne, zbratane na chwilę w tę noc Sylwestrową.

Bankierzy angielscy, milionerzy amerykańscy, książęta włoscy, margrabiowie hiszpańscy, księżne i hrabiny francuzkie, cały ten wielki świat kosmopolityczny, który bawi się ciągle, a któremu widocznie nudno, który od



egipskich piramid, rzymskiego Corso i sal gry w Monte-Carlo, do buduarów paryzkich nosi spleen swój, nudę i miliony—wszystko się tu zlało teraz w jeden wir, w tej jasnej sali, iskrzącej od światła..

Taką była noc Sylwestrowa w Elysée Palace Hôtel.

\* \* \*

Godzina 8-ma rano.

Gdy ranne słońce złoci szczyty białych domów, przesączać się przez świeżą zieleń drzew, ulic i bulwarów, kiedy spieszną falangą tłum roboty podąża do codziennej pracy, smętna, monotonna rozlega się nuta fujarki koziarza.

Z dalekich gór na zarobek do metropolii przyszedł ten ciemnolicy chłopiec, w kapeluszu o szerokich rondach, przepasany błękitnym pasem, i na bruku miejskim pędzi swe kozy zbitą drepczącą gromadką, przygrywając sobie, jak w jasne, lepsze dni, tam na pastwiskach górskich, przed panoramą usnieżonych szczytów, nad błękitem wód Bourget'u lub Annecy.

Kozy biegną szybko, czarno-bronzone, cisanąc się za przewodcą stada, brodatym koźlem o skośnych oczach, satyrem zwołanym z piedestału jakiejś greckiej statuy, ironicznie patrzącym na ruch wielkowiejski.

A za nim pędzą kozy mlekiem obrzmiałe, szczypiąc chwilami skąpą trawę w około drzew wyrosłą, niosąc uzdrowienie anemicznym niewolnikom, zamkniętym w kamiennych pudłach tych olbrzymich domów.

Monotonna niesie się nuta i zda się skarzyć, i płakać, i prosić, i żalić się, a myśl ucieka daleko ku bezgranicznym przestworzom, ku życiowym sosnami gór, ku rozpachnionym majowem kwieciami łąkom, gdzie tak dobrze być musiało i temu ogorzałemu chłopcu i tym kozom biednym, zeszyłym nagle w chaos życia miejskiego, wiecznie zdziwionym, obcym,—wygnańcom, błakającym się po zacieśnionych ulicach setnych, jak w więzieniu.

I gdy patrzę w słoneczne ranki na tę gromadkę depezącą asfalt miejski, rodzi mi się w duszy ta sama nostalgia, która bije z czarnych oczu chłopca, bezmierna tęsknota za szeroką, wolną przyrodą, za rozległością gór i łąk dalekich, gdzie nic nie zatrzyma wzroku, gdzie swobodnie buja wiatr i wysoko na niebie jasnym migają jaskółki.

Kadees.



## WYSTAWA PRAC

### uczenie szkoły artystyczno-dekoracyjnej

PAŃ: CHALUS I DUNINÓWNY.



W roku zeszłym szkoła dekoracyjno-artystyczna pp. Chalusa i Duninówny wystąpiła w sali Towarzystwa sztuk pięknych, z pierwszym pokazem wyników swej pracy, który od razu zwrócił uwagę najsurowszych krytyków. W pokazie owym przebijał kierunek doskonały i oryginalny, prace zaś uczenie wykazywały dużo zdolności, tem bardziej, że wśród nich znajdowały się malarki zna-

ne już poprzednio ze swych prac artystycznych.

Z przyjemnością zaznaczyć możemy, że wystawa obecna, aczkolwiek ilościowo od poprzedniczki swej nie pokazuje, przedstawia jednak sumę prac, świadczących o rzetelnym postępie i zdolnościach, ujętych w karby wprawy i umiejętności. P. Chalusa, która w Paryżu pracowała wspólnie z Grasset'em, każdego roku wraca na paromiesięczny pobyt do Paryża dla zapoznania się z nowymi pomysłami w uprawianej przez siebie sztuce, a pod kierunkiem p. Duninówny prowadzone są: rysunki i studia malarskie z żywych modeli. Perspektywa i rysunek kwiatów, pozostające w nader ścisłym związku z dekoracją, są również w szkole wykładane.

Z pośród okazów wystawionych wyróżniły się prace: pp.: Dziewulskiej (żardinierka, witraże, aplikacje i t. p.), Zielińskiej (dzbany, franki, patrony na ścianę), Bruinier (witraże, aplikacje, dzbany),—dalej prace pp. Krassowskiej, Franckiej, Głotzówny, Kowalewskiej, Nussbaumówny, Znatowiczówny, Mieczynskiej, Tylinger, a między temi także na posadzkę, praca pod godłem „Mysz“, odznaczona na konkursie firmy Dziewulski i Lange.

Kurs nauki w szkole pp. Chalusa i Duninówny trwa lat trzy, po ukończeniu zaś kursu uczennice otrzymują dyplomy.

Z. S.



## PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera: „Handzia“ Sonnenfelda. — Filharmonia. — Towarzystwo Muzyczne. — Nowości muzyczne.

W ciężkich warunkach kończyła ubiegły sezon opera warszawska. Frekwencja publiczności prawie żadna, brak absolutny nowości zajmujących, pewna demoralizacja zarówno wśród solistów, jak i wśród czynników zbiorowych—chórów i orkiestry, zniechęconej nadmiarem pracy chybionej i bezowocnej, bezład w ogólnym kierunku, rozleniwienie się niejake reżyseryi i dyrekcji—oto cechy charakterystyczne, jakie znamionowały w ciągu kilku miesięcy ostatnich sezonu działalność naszej pierwszej sceny.

Nie brakło głosów wśród prasy i przyjaciół teatru, dzwoniących na alarm i polecających różne środki ratunkowe; radzono odświeżyć repertuar, ograniczyć ilość występów importowanych a bardzo drogich znakomitości zagranicznych, zwrócić bacniejszą uwagę na zespół artystów miejscowych, na celowość w powierzaniu partyi poszczególnych w ręce odpowiednie, zmienić inscenizację dzieł, stanowiących stały repertuar sceny, wkładać więcej pracy w przygotowanie i opracowanie utworów wystawianych, nawet znanych bardziej i t. p., słowem—starano się wszelkimi sposobami zwrócić uwagę, czyją należy, na stan rzeczywiście rozpaczliwy, do jakiego dążyła szybkim krokiem opera, i na sposoby wydzwignięcia się zeń z honorem i ze skutkiem pożądanym. W ogóle prasa i społeczeństwo zrobiły tu swoje: ostrzegły, poradziły, i tylko od dobrej woli strony interesowanej zależało przyjąć to wszystko do wiadomości i podług tego nakreślić plan i sposób wykonania nowej kampanii artystycznej.

Nie małe też zaciekawienie wzbudziło zaczęcie sezonu obecnego.—„Czy też sfery miarodajne skorzystają z nabytego doświadczenia i rad dobrych?“—zapytywał siebie każdy rzetelny miłośnik sztuki operowej. Przyznać należy, że sam początek sezonu mógł dać pewną otuchę w tym względzie na przyszłość. Dano opery, wprawdzie tak znane, jak: „Halke“, „Hrabinę“ i „Straszny dwór“, dano je-

dnak w oprawie, ujawniającej bez wątpienia pewną dbałość o zadowolenie smaku estetycznego słuchaczy, postarano się o tak atrakcyjną siłę artystyczną, jaką jest pani Bolka, zapowiedziano cały szereg nowości i debiutów interesujących. Niestety jednak, zaszedł nowy fakt, stwierdzający, że sezon obecny, jak to dowcipnie rzekł jeden z naszych publicystów, jest jeno przedłużeniem dawnego, z całą jego gospodarką i ze wszystkimi błędami. Faktem tym jest wystawienie 5-io-aktowej opery romantycznej Adolfa Sonnenfelda p. t. „Handzia.“

Adolf Sonnenfeld, muzyk od lat pięćdziesięciu z górą żyty z tradycjami muzyki warszawskiej w dziedzinie lżejszej, należy bez wątpienia do tych pracowników cichych i skromnych, którzy krocząc przez życie całe bez rozgłosu. a pracując z zaparciem się siebie, stanowią jednostki prawdziwie użyteczne w każdym społeczeństwie. Kompozytor kilkunastu baletów i wodewilów, z których parę, jak: „Pan Twardowski“ i „Podróż po Warszawie“ po dziś dzień nie utraciły nic ze swej żywotności, organizator i kierownik długoletni stałej orkiestry, grywającej dawniej w Dolinie, autor udatnych przekładów na skrzypce najcenniejszych utworów literatury muzycznej wszechświatowej i pieśni swojskich (pod pseudonimem Adolfsohna), ostatnio wreszcie kapelmistrz orkiestry teatru Ludowego, od samego założenia teatru rzeczono, położył Sonnenfeld niewątpliwe zasługi w obranym przez się zawodzie i zasłużył, aby społeczeństwo, wśród którego od lat tylu owocnie pracuje, oceniło tę pracę jego, jak należy.

Dlatego też, słysząc jeszcze w roku zeszłym, że dyrekcja teatrów z okazji jubileuszu 50-letniej pracy na niwie muzycznej sędziwego muzyka, zwróciła nań uwagę, i stając się niejako wyrazem uczuć społeczeństwa, ma zamiar w jakiś sposób zapewnić mu trochę satysfakcji w tem życiu, w którym zbyt wiele napewno jej nie posiadał, uważaliśmy postanowienie rzeczono za chwalebne i ze wszech miar godziwe. Nie przypuszczaliśmy atoli, że chęć wzięcia udziału w obchodzie jubileuszu zasłużonego tego pracownika wyrazi się w wystawieniu jego opery.

Toć jasnym było i łatwym do przewidzenia, iż kompozytor, który w ciągu pół wieku, uprawiając rodzaj lekkiej muzyki przygodnej, nie wykazał rzeczywistego talentu dramatycznego, ani nawet wyższej kultury muzycznej, nie stworzy, zwłaszcza będąc w tak podeszłym wieku, dzieła, mającego wartość jaką taką. Nie przeszkodziło to jednak do zakwalifikowania jego opery, i popełniono tu grzech ciężki: wystawiono utwór, nie mający zgola żadnych widoków powodzenia, zużytkowano w tym celu nieprodukcyjne sporo pracy i starań, zniechęciło, co najważniejsze, znów na pewien czas szerszy ogół słuchaczy, a i samemu autorowi wyrządziło prawdziwie niedźwiedzią przysługę.

Chcąc w jakibądź sposób uczcić zasługi Sonnenfelda, należało rzecz tę urządzić inaczej: jakieś nadzwyczajne przedstawienie którego z tak ulubionych baletów, jakimi są: „Meluzyna“ lub „Pan Twardowski“, tudzież zaproszenia twórcy ich do objęcia batuty dyrektorskiej podczas spektaklu, wystarczyłoby tu w zupełności i cel zamierzony osiągnęło, jak lepiej nie można. Tymczasem, wystawiając ostatnie jego dzieło operowe, zadowolenia jubilatowi nie dano żadnego, a przeciwnie kazano mu wychylić jeszcze jeden kielich gorzycy pod skalpelem krytyki, która w danym wypadku musi być w sprawiedliwości swojej bardzo surową.

Bo „Handzia“ Sonnenfelda jest utworem w zupełności chybionym i nie posiadającym żadnych danych do zdobycia sobie żywota scenicznego, nawet najbardziej efemerycznego. Przedewszystkiem, jak można było do illu-

stracyi muzycznej wybrać takie libretto, romansidło naiwne i nieudolnie sklecone? Nie jest ono ani dramatem, opartym na psychologii, ani baśnią romantyczną, lecz luźnym zlepkiem scen, nie spojonych ze sobą, pozbawionych zupełnie akcyi, nie wzbudzających żadnego zainteresowania, a niekiedy wprost niezrozumiałych. Głównym motywem tej ramoty jest odwieczna historia, uwiedzenie dziewczyny z ludu, podłana niewprawnie sosem podania o dziwożonach, święziankach i t. d., ujęta w sceny bajecznie nudne, a w rymy częstochowskie. Już sam fakt obrania sobie za przedmiot pracy takiego dziwoląga literackiego stanowi poważny grzech kompozytora, a ileż takich grzechów zawiera w sobie strona muzyczna „Handzi!“

Obracanie się przez całe życie w sferze ludowych melodramatów, wodewilów i kupletów musiało wyrobić w Sonnenfeldzie pewne nawyknięcia i przyzwyczajenia, nie nadające się zupełnie do sytuacji, jakich wymaga tworzenie pewnego dzieła operowego. Sumienny pracownik na niwie muzyki lżejszej, chciał w nowej operze wejść na nowe, nieznanne tory i celu swego dopiąć nie zdołał. W rezultacie w partycyi „Handzi“ dał nam Sonnenfeld jakies dziwaczne mixtum-compositum, coś, do czego niepodobna przyłożyć zwykłej miary krytycznej.

Muzyka do „Handzi“, to właściwie łatanina, pozbierana z różnych mniej lub więcej znanych urywków, temacików i frazesów, naiwnych w założeniu, banalnych, pozbawionych charakteru, treści i nastroju, powiązanych zaś luźno bez żadnej troski o myśl przewodnią, o wyraz, o styl, o przystosowanie do słów tekstu lub do danej sytuacji scenicznej. Ta sama bezcelowość, nieporadność, i brak logiki widnieją i w całym wogóle opracowaniu technicznym pstrytej tej mozaiki: w podkładzie harmonicznym i instrumentacyjnym dzieją się niekiedy takie rzeczy, o jakich z pewnością nie marzył nawet Ben Akiba.

Jedyną zaletę strony muzycznej omawianej nowości operowej stanowi orkiestracja czasem wcale udatna (np. w scenie baletowej aktu III-go); zaleta to jednak tak drobna, że na szali wartości opery nie zaważyć nie może.

Na podstawie powyższego, cokolwiek powiedziećby się dało w kwestyi usprawiedliwienia wystawienia „Handzi“, nie jednak wytlómaczyć nie zdoła kierowników opery naszej w tym względzie. Ten, co zakwalifikował operę do wystawienia, źle bezwarunkowo zasłużył się teatrowi, i życzyć jedynie należy, aby fakty podobne wcale się nie zdarzały. Zyska na tem sama instytucja, bo zjedna sobie zaufanie ze strony społeczeństwa, zyska i publiczność, gdyż nie będzie narażona na tak dotkliwą zawody.

Dla ścisłości sprawozdania nadmienić musimy, że w przygotowanie „Handzi“ zarówno ze strony reżyserji, jak i wykonawców włożono dużo sił i starań. Szkoda, że okazały się tak nieprodukcyjnymi i poszły tak na marne.

Do nielada kampanii szykuje się Filharmonia warszawska. I ta instytucja w sezonie ubiegłym nie stąpała po różach. Przysłowie łacińskie: „inter arma silent musae“ sprawdziło się względem niej w zupełności. Publiczność nie dopisywała, artyści również: trzeba było łątać płaszcz dziurawy na wszystkie strony, i tylko dzięki energii i talentowi kierownictwa, udało się dobrnąć jako tako do końca. Za to obecnie, jakby pragnąc wynagrodzić straty w zeszłorocznym bilansie artystycznym, Filharmonia zapowiada nam sezon niebywale świetny.

Dyrekcja z właściwą sobie zabiegliwością i ruchliwością wsparta przytem kilkoletniemi doświadczeniami, postarała się, aby wszystko, co muzyka wszechświatowa wydała najlepsze w czasach ostatnich, ukazać się mogło na estradzie tego wspaniałego przybytku sztuki.

Zwrócono nadto przy układaniu programu baczniejszą jeszcze uwagę na zwyczaje i upodobania publiczności naszej, uprzyświecono ceny wieczorów filharmonicznych, dano ściślej organizację koncertom popularnym, nie zapomniano wreszcie i o „Milusińskich“, zapewniając im możność spędzenia niejednej chwili przyjemnej a użytecznej na koncertach dziecinnych, zorganizowanych na sposób szwajcarski, z dużem uwzględnieniem zasad rozumnej pedagogiki.

Plan całej kampanii zapowiada nam tedy: a) jak zwykle, dziesięć wielkich koncertów symfonicznych; b) dwadzieścia cztery wieczory filharmoniczne; c) kilkanaście koncertów kompozytorskich, przeważnie autorów swoich; d) cały szereg koncertów nadzwyczajnych z udziałem bawiących chwilowo w grodzie naszym najwybitniejszych solistów; f) całą seryę wieczorów popularnych w czwartki, soboty i niedziele z numerami, poświęconemi deklamacyi, pogadankom muzycznym lub konferencyom z dziedziny sztuki; g) kilkanaście poranków kwartetowych; h) cały szereg koncertów dziecinnych. Do wykonania tak imponującego programu zgromadzono siły solowe i zbiorowe, również istotnie imponujące pod każdym względem.

Orkiestrą dyrygować mają tacy mistrze batury, jak: Nikisch, Strauss, Weingartner, Muck, lub tak utalentowani dyrektorowie, jak: Noskowski, Schuch, Nédbal, Chevillard, Grieg, Moszkowski, nie licząc kapelmistrzów wieczorów popularnych: Cielewicz, Herberta i Gane'a. W szeregu wirtuozek i wirtuozów widzimy nazwiska: Sembrich-Kochańskiej, Kruzelnickiej, Mary Garden, Feli Litwinne, Jaczynowskiej, Artôt Padilla, Barcewicz, Thibauda, Yssaye, Kreislera, Kubelika, Hofmana, Staenhagen'a, Michałowskiego, Consol'a, Poppera, Bazelaire'a, Mysziugi i mnóstwa innych. Z dzieł zbiorowych lub nieznanych jeszcze u nas orkiestralnych usłyszeć mamy: całego „Tristana i Izoldę“, Wagnera, kantatę Sołtyśa p. t.: „Rzeczpospolita Babińska“, poematy: Cezara Francka p. t. „Błogosławieni“, — Liszta, p. t.: „Dante“ i Berliozę p. t. „Lelio“, „Noc Walpurgii“ Mendelsohna, „Rome“ Sibeliusa, wreszcie nowe symfonie Noskowskiego, Weingartnera, Saint-Saënsa i t. d.

Z powyższego widzimy, jak bogaty, szeroki i różnorodny zakres działalności wyznańczyła sobie młoda nasza instytucja muzyczna. O ile, i jak wywiąże się z podjętego zadania, zobaczymy w niedalekiej przyszłości, tymczasem zaś życzymy z całego serca, aby wywiązała się jak najgodniej i jak najlepiej...

Towarzystwo Muzyczne rozpoczęło już sezon zimowy w tygodniu ubiegłym koncertem, poświęconym pamięci Chopin'a i złożonym wyłącznie z dzieł mistrza. Wykonawcami bogatego programu byli: ceniona śpiewaczka p. Lucówna i znakomity interpretator Chopin'a, prof. Al. Michałowski. Wobec takich sił artystycznych rezultat artystyczny wieczoru wypadł, naturalnie, świetnie.

Część koncertową poprzedził odczyt, wypowiedziany przez prezesa sekcji Chopin'owskiej przy Tow. Muzycznym, znanego miłośnika muzyki wogóle, a Chopin'a w szczególności, d-ra Dobrzyckiego. Sz. prelegent dotknął w nim kwestyi narodowości genialnego kompozytora, i—sięgając w głąb istoty utworów jego, znalazł w ich naturze rękojmiej przynależności mistrza do narodu naszego. Na zakończenie pięknego swego wykładu mówca rzucił myśl, iż pora najwyższa po temu dać wyraz dumy narodowej z posiadania tak wielkiego syna, i nie pozwalając prochom jego spoczywać pod cudzem niebem, sprowadzić te dostojne, drogie sercom naszym szczątki do kraju, który był ich kolebką. Myśl ta właściwie nie nowa, poruszyła ją bowiem już przed sześciu laty młodzież akademicka lwowska z okazji 50-cio-lecia śmierci mistrza, uległa jednak zapomnieniu, i prelegentowi

za jej poruszenie należy się szczerza podzięką wraz z życzeniem, aby danem mu było jak najrychlej ujrzeć ideę swą wzniosłą, obleczonej w kształty realne.

Na zakończenie nieco o nowościach muzycznych. Tych ilość spora wyszła w ostatnich czasach nakładem Kassy Przewodności i Pomocy warszawskich pracowników księgarskich. Z czterech cyklów wydawanych przez Kassę rzeczoną, a zatytułowanych „Cudne dźwięki“, z „Echa oper“, „Arcydzieła muzyki historycznej“ i „Répertoire des pièces modernes et brillantes“ pojawiło się kilkadziesiąt utworów różnych kompozytorów dawnych i współczesnych na głos ludzki i fortepian. Dobór staranny kompozyty, przeważnie wartościowych, korekta staranna, wreszcie estetyczna szata zewnętrzna rekomendują całe to wydawnictwo ze strony jak najlepszej. Z nowości powyższych na bliższą uwagę zasługują: pieśni Masseneta, Griega, Meyer-Helmunda i Tostiego, oraz drobnotki na fortepian Godarda, Grünfelda i Moszkowskiego.

„Nowości muzyczne“ (dawniej „Meloman“) wystąpiły również w ostatnich kilku zeszytach z pokaznym szeregiem interesujących utworów swojskich i obcych. Z tych ostatnich na wyróżnienie zasługują: dwa utwory Philippa i Schytte'a w charakterze pedagogicznym (stopień drugi trudności według programów pedagogicznych), śliczne intermezzo z opery „Cherubin“ Masseneta, elegancki i zgrabny walc Bineta oraz misternie i dowcipnie ułożona „Pizzicato - polka“ Sama Phitta. Z utworów swojskich, belletrystycznych, salonowych, polecić możemy nagrodzone na konkursie im. Konstantego Lubomirskiego: Sere-nady Płoszajkiewicza i Eug. de Weitha; obie napisane kunsztownie i harmonizowane dowcipnie, „Melodyę“ i „Tajemniczą noc“ Stankiewicza, rzewne w nastroju i bardzo melodyjne, „Dumkę“ Jana Michałowskiego, a przede-wszystkiem „Kartkę z albumu“ profesora A. Michałowskiego, drobiazg artystyczny, oparty na harmonii nader zajmującej, a prowadzony wielce oryginalnie w formie dialogu w skalach sopranu i tenoru.

Z innych wydawnictw wspomnieć należy jeszcze „o 15-u ćwiczeniach przygotowawczych na podwójne tony do drugiego kajetu Schradiecka na skrzypce“, Konstantego Paschalskiego, wydanych nakładem Szkoły muzycznej radomskiej. Daje tu autor zbiór ćwiczeń, uprzyświeniających uczącym się skrzypkom zdobycie wyższej techniki. Zbiorek to z punktu widzenia pedagogicznego bardzo użyteczny, a jedyną niedogodność w nim stanowi to, że wszystkie numery napisane są tylko w tonacji C-dur w postępie progressyjnym i przeważnie w obrębie pierwszych trzech pozycyi, wskutek czego dla uzupełnienia tych ćwiczeń potrzeba uczącemu się transponować je tak, aby otrzymać inne tonacje i wyższe pozycye. Niedogodność to zresztą drobna i zalet zbioru wcale nie zmniejsza.

St. Dziadulewicz.



## Kronika działalności kobiecej.



— W Szkole Artystycznej dla Kobiet „A. Conti“, prowadzonej już rok drugi przy ulicy Wielkiej, pod Nr. 23-im, przez szersze grono artystów naszych, zajęcia zaczęły się na wszystkich kursach od dnia 15-go Września. Obecnie zaś, od 1-go Października, rozpoczynają się przy nich wykłady teoretyczne dla wszystkich uczennic szkoły bezpłatnie.

Oprócz czterech kursów równoległych, a mianowicie: rysunków ręcznych, malarstwa, rzeźby, sztuki stosowanej i rysunków technicz-



PUDER  
**DELICIA**

w pud. po 15, 30 i 50 kop.

Centralne Laboratorium Chem.

(Czekaj i Krysiewicz) w Warszawie.

Najmilszy, przylegający, niewidoczny.

Sprzedaż w składach aptecznych i perfumeryach.

Tow. Udoskonalonej Perfumeryi  
**A. RALLET & C-ie**

w Warszawie, Wierzbowa 7.

Poleca:

„LOXOTIS”

„SADDA-JAKKO”

„Groszek-Pachnący”

Do nabycia w Perfumeryach i Składach Aptecznych.

**APTEKA Ap. KOWALSKIEGO**

(wynalazcy **Sudorynu** od potu i **Klawiolu** na odciski) w Warszawie, Graniczna 10, wyrabia podług przepisów, kupionych z apteką od Wl. Russyana, od lat 25 znane:

**PASTYLKI OD ZGAGI,**

natychmiast usuwające palenie w gardle, żołądka i odbijanie się, zwłaszcza po użyciu trunków, nadmiar kwasów, smak kwaśny, wzdęcie i ból żołądka, zbro utatwiający trawienie C. 40 k.

Robią się bez domieszki szkodliwej dla traw, klejów, lecz przez sprasowanie chem. czyst. z wegl. sody z pepsyną.

**GRANULKI OD KASZLU,**

chrypki, duszności i astmy, 60 i 35 k. Wyrób bez ciał. klejów.

**BRASIKON od BÓLU GŁOWY, ZĘBÓW i MIGRENY,**

80 i 40 k. Bras. tualet. 250 i 150 k. za fl. paryski.

Prawdziwe, skuteczne i bez kleju *tylko z 3-kolor. podpis. Russyana i firmą apt. Ap. K-go.* Sprzedaż w składach aptecz. i aptekach. Strzedz się naśladow. 40 k. przesył. leków 60 k. do 3 rb. Do Azji 70 k., za zad. 1 rb.

Wydawnictwa **GEBETHNERA i WOLFFA**  
**NOWE PODRĘCZNIKI SZKOLNE:**

- Bogucka C. i Niewiadomska C. **Pierwsza książka do czytania** dla dzieci od lat 7-miu (zaraz po elementarzu) karton. —40  
" " " **Druga książka do czytania.** Z ćwiczeniami gramatycznymi dla dzieci od lat 8—10-ciu. Wyd. 2-gie, przejrane i poprawione. Karton —80  
Bogucka C., Niewiadomska C. i Warnkówna J. **Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania.** Stopień I—15 k. Stopień II —20  
Chrzęszczewska J. i Warnkówna J. **Rok czytania.** Wypisy na klasę pierwszą. Wyd. 2-gie, przejrane i poprawione. W oprawie 1.—  
Dmochowski F. S. **Krótki zbiór historii Polskiej** podług najnowszych źródeł histor. Wyd. nowe, poprawione, rozwinięte i uzupełnione spisem chronologicznym 40 kop., karton —50  
Drzewiecki Konrad. **Początki gramatyki języka polskiego** z ćwiczeniami z przykładami. Wyd. 2, przejrane i popraw. Kart. —60  
Galle Henryk. **Wypisy polskie z dziejów literatury do użytku szkolnego.** Rb. 1.20, w oprawie 1.50  
Hellpern M. **Zasady botaniki.** Podług 23 wydania dzieła „Księga Przyrody“ dra Fryderyka Schoedlera, zmienionego i zredagowanego przez prof. dra O. W. Thome'go. Z 281 rys. w tekście 1.— W. opr. płóc. 1.20  
Koneczny Feliks Dr. **Dzieje Narodu Polskiego,** opowiedziane dla młodzieży. Karton kop. 80, w oprawie płóc. 1.—  
Korzon Tadeusz. **Historia starożytna** sposobem elementarnym wyłożona. Ze 113 rysunkami w tekście, z dołączeniem 3 map. planu i tablicy synchronistycznej. Wyd. 4-te poprawne rb. 1.50, w opr. 1.70  
Niewiadomska C. **Pierwszy rok gramatyki.** —15  
Nussbaum J. Dr. **Podręcznik zoologii** do użytku w klasach niższych szkół średnich, oraz do nauczania prywatnego dla młodzieży od lat 10—14. Z 272 rysunkami w tekście rb. 1.80, w opr. płóc.\* 2.—  
Katalogi szczegółowe książek *pedagogicznych* na żądanie bezpłatnie.

**Herman & Grossman**

Warszawa,  
Mazowiecka  
Nr. 16.  
Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych  
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg  
Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZ-  
PŁATY MIESIĘCZNE  
PO 25 RUBLI.

WYNAJEM WYBOROWYCH  
INSTRUMENTÓW.



ANGELUS—ORCHESTRAL  
PIANINA  
„CROWN”—„SYMPHONY”

Cenniki ilustrow. gratis.

Szkoła Rękodzielnicza Cechowa dla Kobiet  
**K. MACZYŃSKIEJ-METHAL**

Mazowiecka 11, obecnie Śto Krzyżka 31.

Przyjmuje pensyonarki, przychodnie, na różne rzemiosła; kwalifikuje na nauczycielki ro-  
bót. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa cechowe. Zapis od 22 Sierpnia.

**SZKOŁA KROJU S. ROSZKOWSKIEJ**

**ZŁOTA № 3. \*\*\*\*\* PENSYONAT.**

Kursa prywatne i cechowe objaśnienia w 4-ch językach.  
Po powrocie z zagranicznej akademii otworzyłam, kursa kapelusznicze,  
bielizniarskie, oraz specjalne kursa kroju dzieciennego.



**FOSFATYNA FALIERA,**

przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwi-  
szcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. *Ułatwia ząbkowanie*  
*i zapewnia prawidłowy rozwój kości.* Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Ostrzegamy przed naśladownictwami.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz”

**KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.**

„Kobieta Współczesna”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objęto-  
ści 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia  
w administracji „Bluszczu.”

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płacą za  
powyższe dzieło

**tylko rb. 1.**

Przesyłka pocztowa kop. 40.

**Cena księgarska rb. 3.**

**PRACOWNIA STROJÓW**

**Damskich i Dziecinnych**

pod firmą

„Paryski Salon Mód”

Krucza № 34, m. 1.

Przyjmuje do roboty kapelusze  
z własnych i powierzonych mate-  
ryałów, oraz wszelkie przeróbki.

Przyjmuje też płatne uczennice  
ucząc na własnych materiałach.

Stanisława.

Pierwszorządne Biuro Nauczycielskie  
**LEOKADYI MAX**

Warszawa, Marszałkowska № 113

(Zielna № 8) parter.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE  
MARJI NOWORYTO**

Warszawa, Marszałkowska 94.

Poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

**ZAKŁAD**

Gimnastyki Szwedzkiej i Masażu,  
dla Kobiet i Dzieci

**ANTONINY ROHR**

Piac Ś-go Aleksandra 8 m. 24 dom Junga.

Zapisy od d. 1 Października, między 12—6 pp.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE  
WASILEWSKIEGO,**

Warszawa, Marszałkowska 123,

poleca: nauczycielki, bony, freblówki;  
sprowadza cudzoziemki.

**MAGAZYN**

**UBIORÓW DZIECINNYCH**

oraz Umundurowania dla Uczniów

Poleca

**S. PRZEZDZIECKI**

5. Mazowiecka 5.

(Dok. opisów do Nr. 41).

## № 11. Ubranie na deszczową porę dla lalki.

Ladna lalka średniej wielkości ubrana w marynarską sukienkę z granatowego, cienkiego szewiotu, złożoną z faldowanej spódniczki przyszytej do gładkiego staniczka bez rękawów i z luźnej, prostej bluzy, przybranej kołnierzem i mankietami z białej satyny, zapiętej na 2 rzędy drobnych perłowych guziczków. Peleryna z kapturem, sporządzona z cienkiego granatowego sukna, kaptur wysyty ponowym fularem. Koszulka, majteczki i spódniczka z bawelnianego batystu, sporządzone do zdejmowania, przybrane wstaweczkami i koroneczkami.

## № 12. Sukienka dla dziewczynki od 6—8 lat.

Materyał: ponsowy kaszmir. Przybranie: czarna karbowana wstążeczka i napierśnik z klockowej koronki, na podłożeniu z ponsowej materyi. Trzy równe falbanki marszczone, oszyte plisowaną wstążeczką, pokrywają całość spódniczki, przyszyta do stanika z podszewki, do którego w górze przyfastrygowany jest karczek z nicianej koronki. Trzy falbanki w około karczka zastępują kołnierz.

Rękawki do łokcia bufiaste, w połowie przemarszczone, poniżej wąskie, przy rączce naszyte wstążeczką.

Potrzeba: 3½ mtr. kaszmiru podw. szer., ¼ mtr. koronki, 30 mtr. karbowanej wstążeczki.

## № 13. Ubranie dla chłopczyka od 2—4 lat.

Ubranko z welnianego materyału w granatową kratkę na szarem tle, całe wykończone na satynkowej podszewce. Majteczki przy kolanach ściągnięte paskiem, złożona z przodu i z tyłu w szeroką kontrafaldę, obok tej zaś w drobne płaskie faldki. Bluzę przybierają wypustki z ponsowej materyi i ponsowy krawat, związany na sutą kokardę.

## № 1. Suknia z bluzką dla paniąki od 13—15 lat.



Potrzeba: 1½ mtr. materyału podw. szerek, 25 ctm. materyi surrah.

## № 14. Suknia z marynarską bluzką dla dziewczynki od 11—13 lat.

Materyał: ostra granatowa welna. Spódniczka gładka, przypięta do staniczka z białej flanelki do prania. Luźna, wyrzucana bluzka, wkładana przez głowę ściągnięta gumową taśmą. Do marynarskiego z materyału, przypięty kołnierz z granatowego płótna, naszyty białymi tasiemeczkami. Rękawy koszulowe, nastębnowane przy rękę w 3 zakładki. Krawat czarny, jedwabny.

Potrzeba: 4½ mtr. granatowej wełny podw. szer., ½ mtr. białej flanelki, 35 ctm. granatowego płótna, 3 mtr. białej tasiemki, czarny jedwabny krawat.

## № 15. Suknia z materyału w kratę dla dziewczynki od 8—10 lat.

Sukienkę z materyału w granatowe i szafirowe kraty bardzo ładnie przybiera boczne zapięcie bluzki łączące się z nasładowanym zapięciem na spódnicze. Spódniczka z bluzką połączona za pomocą stanika z podszewki, do którego przyszyta spódnica, razem z nim zapina się z tyłu. Rękawy do łokcia bufiaste, poniżej wąskie, zapięte na wierzchu na guziki. Przy rękę odwinięty płócienny, haftowany mankiet, odpowiedni kołnierz wykończa bluzkę przy szyi. Krawat jedwabny zielony, albo granatowy.

Potrzeba: 3½ mtr. materyału podw. szer., 2 tuziny złożonych guzików, 15 ctm. ukosu materyi na krawat, kołnierz i mankietki płócienne.

## № 16. Ubranie dla chłopca od 9—11 lat.

Ubranie z granatowego sukna, całe wykończone na podszewce, składa się z długich spodni, modnie zaprasowanych, z krótkiej kurtki i z kamizelki, dopełnionej napierśnikiem. Wyłogi wyszyte czarną materyą. Guziki w dwóch wielkościach złożone.

Potrzeba: 2 mtr. sukna podw. szer., 30 ctm. czarnej materyi, 1 tuzin większych, 1½ tuzina mniejszych guzików.

## № 17. Zreformowana sukienka dla dziewczynki od 12—14 lat.

Suknia z białego, gładkiego woalu składa się z kolisto skrojonej, lekko przymarszczonej spódniczki i z krótkiej marszczonej bluzki, połączonych przy pomocy stanika z podszewki do którego też przyszyta jest spódniczka z podszewki, (z cienkiej satyny albo taffetiny). Spódniczkę zakończy marszczona falbanka i przybierają riusze. Bluzka w dole zmarszczona w szeroką główkę, pokrywając połączenie spódnicy z bluzką. Szeroki, prosty karczek z koronki, obejmuje górę bluzki. Rękaw sięgający do łokcia, przy ramieniu bufiasty, poniżej naszyty rinszkami. Przy boku kokarda z wąskiej, czarnej aksamitki.

Potrzeba: 4 mtr. woalu podw. szer., ¾ mtr. koronki 17 ctm. szer., 2½ mtr. aksamitki 1½ ctm. szerokie.

## № 18. Okrycie dla dziewczynki od 2—4 lat.

Ladne i praktyczne okrycie z ciemno piaskowego, prążkowego welwetu, sporządzone na podwatowanej, półjedwabnej, lekko przepikowanej podszewce, zapięte na 2 rzędy perłowych guzików. Kołnierzek wykładany z kłapkami, wypełniony napierśnikiem, też podwatowanym.

Rękawy ufałdowane przy ramionach, zakończone mankietkami.

Potrzeba: 2½ mtr. welwetu, 2 mtr. półjedwabnej podszewki, 6 guzików.

№ 2. Biała sukienka dla dziewczynki od 5—7 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 90-97).



## № 3. Kostium spacerowy ze spódnicą wszytą w karczek.



## № 4. Kostium wizytowy z taffetas z faldowaną spódnicą.



№ 5. Eton i mufla z kasztanków lub z imitacji futra, dla paniąki od 15—17 lat.  
(Kroj pierw. str. tabl. Fig. 21—27).



№ 8. Koszulowa bluzka z jedwabnej materyi.  
(Kroj pierw. str. tabl. Fig. 28—34).

№ 19. Sukienka dla dziewczynki od 2—4 lat.

Sukienkę z białego, welnianego materiału do prania, przybiera ozdoba taśma, naszyta na kołnierzu, mankietach i na karczku, zdobnym nadto drobnymi zakładczkami. Spódniczka, zakończona szeroką stębnówką, cała ułożona w proste fałdy, połączona z długą bluzą ułożoną z przodu i z tyłu w kontrafałdy. Bluzę zapiętą na plecach, rozchodzący się z przodu i na plecach. Rękawki koszulowe, ujęte w mankietki. Szarfa biała jedwabna.

Potrzeba: 2 mtr. materiału podw. szer., 1 mtr. tasiemki 1 ctm. szer.

№ 20. Okrycie dla dziewczynki od 8—10 lat.

Skromne, lecz bardzo eleganckie okrycie angielskiego materiału w kratę, w dowol-



Szkic a do ryc. 11. Szkic b do ryc. 15.

nie dobranym kolorze, zapięte na 2 rzędy rogowych albo perłowych guzików. Kołnierzyk aksamitny i klapki stębnowane wykończone po meżku. Rękawy koszulowe, zakończone mankiet. Boki opatrzone kieszonkami.

Potrzeba: 2 mtr. materiału podw. szer., 10 ctm. ukosu aksamitnego, 6 dużych guzików, 4 małe.

№ 21. Ubranie dla chłopca od 8—10 lat.

Ubranie z granatowego szewiotu ożywia duży marynarski kołnierzyk z kremowej piki i także kamizelka, zapięta na 2 rzędy perłowych guzików i wypełniona małą gładką szmizelką, przyszyta do stanika z podszewki, do którego przypięte są krótkie, do kolan sięgające spodeńki. Do praktyczniejszych celów kołnierzyk, który jest odpinany i kamizelkę, zastąpić można kołnierzem i kamizelką z szewiotu. Kurtka opatrzona na bokach kieszonkami.

Potrzeba: 2 mtr. szewiotu podw. szerokości, 1 1/2 mtr. piki też podw. szerokości.

№ 22. Ubranie dla chłopczyka od 3—5 lat.

Duży kołnierzyk z białej, wydatnej piki, osztyt koronką, odpowiednie mankiety i napierśnik strojnie przybierają ubranko z granatowego kamgaru, składające się z krótkich, do staniczka przyszytych majteczek i z bluzy spiętej skórzanym paskiem. Rękaw-

ki przy rękę zastębowane w fałdy. Kołnierzyk, mankiety i napierśnik sporządzone osobno, są tylko przypięte takiej przyfastrygowane i pokrywają takiej że samej formy przybranie, sporządzone z materiału ubranka.

Potrzeba: 1 1/2 mtr. kamgaru podw. szer., 1/2 mtr. piki, 2 mtr. koronki nicianej 5 ctm. szer., 2 duże guziki.

№ 23. Suknia dla dziewczynki od 12—14 lat.

Materiał: welna w jaśniejsze i ciemniejsze szare paski. Spódnica ze szwem z przodu, wykończona na podszewce, trzykrotnie w odstępach naszyta kolisto skrojonymi, plisami. Bluzka o warta z przodu na marszowanej koszulce z ponsowego aksamitu, którą w części pokrywa szeroki plastron w górze na 3 guziki przypięty. Rękawy ujęte zakończone przy rękę małym odwiniętym mankietkiem. Kołnierzyk płócienny, podwiązany ponsową krawatką. Pasek skórzanym szary.

№ 26. Paltocik dla chłopca od 4—6 lat.

Paltocik z granatowego sukna na flanelowej, ciepłej podszewce, zapięty na 2 rzędy metalowych guzików, przybierają wyhaftowane na kołnierzu kołtwice. Wycięcie kołnierza wypełnia



№ 10. Kostium z kolorowego aksamitu.

№ 11. Kostium z breitschwaiców albo z imitacji futra, odpowiedni na ślizgawkę. (Patrz szkic a).

№ 12. Praktyczny kostium starszej osoby. (Kroj pierw. str. tabl. Fig. 7—20).

№ 13. Kostium wizytowy w formie pancerza, z kołnierzem i krótkim kaftanikiem. (Kroj pierw. str. tabl. Fig. 7—20).

№ 14. Kostium spacerowy z długim paltotem, redingotem.

№ 15. Długi płaszcz sukienkowy z długim paltotem, redingotem.

losa

z jednej strony przyczepiony napierśnik. Boki opatrzone kieszonkami. W rękawach podszewka z hiszpańskiego atlasu.

Potrzeba: 1 mtr. sukna podw. szer., 9 guzików.

№ 27. Strojna bluzka dla młodej paniąki.

Biała bluzkę z fularu pongé strojnie przybierają valencienkowe wstawki i koroneczka. Bluzka sporządzona na dopasowanej podszewce, wszyta w okrągły karczek rozszyty a jour wstawkami i otoczony falbanką ze złożonych drobnych koroneczek. Środek przodu rozszyty wstawkami a jour wszystymi. Buflaste rękawy, sięgające łokcia, ponad nim przemarszczone, zakończą falbanka, odpowiednia do falbanki w około karczka. Zapięcie z tyłu pokrywa kontrafałda wysuwająca się z pod karczka. Pasek marszczony z materiału bluzki.

Potrzeba: 4 mtr. materyi pongé, 25 mtr. koronki 2 cent. szer., 15 mtr. wstawki tejsze szerokości.

№ 6. Zimowy kapelusz, przybrany piórami.

№ 28. Bluzka dla dziewczynki od 11—13 lat.

Gładką, lekko w stanie

ściągniętą bluzkę z welnianego kremowego materiału w ponsowe kropki, przybierają: mały karczek, wycięty w formie patki, obłożenie stojącego kołnierza i obłożenie rękawów, sporządzone z ponsowego sukna, zahaftowane białymi punkcikami i osztyt plecionką z białego i czarnego jedwabiu. Guziki obciążone ponsowem sukmem.

Potrzeba: 2 mtr. materiału welnianego podw. szer., 1/4 mtr. sukna, 3 mtr. plecionki 1 ctm. szerokiej.

№ 35. Paltocik dla paniąki od 12—14 lat.

Wykładany kołnierzyk, mankiety i klapki u kieszeni, przy paltociku z ciepłego materiału eskimos, włożone są aksamitem, zakończonym plisą z materiału. Podszewka półjedwabna i molton, albo flanelowa bez moltonu, w rękawach w takim razie odmieniana, gładka. Zapięcie na 2 rzędy rogowych guzików. Na plecach fałdka, złożona do wewnątrz, spięta patką.

Potrzeba: 2 1/2 mtr. ciepłego, włochatego materiału podw., tyleż podszewki, 1/2 mtr. aksamitu, 6 dużych guzików, 2 małe.

№ 36. Sukienka flanelowa dla małego dziecka.

Długi, aż pod rękawki sięgający karczek u flanelowej białej sukienki, składa się z za-



№ 7. Wizytowa mantylka koronkowa dla osoby starszej.



№ 9. Bluzka z białego sukienka.

stębnowanych zakładki i ozdobnych, haftowanych tasiemek, połączonych gałżkowymi ściągami. Takież same ścięgi zdobią rękawki zakończone nicianą koroneczką, która otacza małeńki kołnierzyk. Sukienkę w dole zakończy szeroki obręb.

Potrzeba: 2 mtr. flaleli podw. szer., 2 mtr. tasiemeczki ozdobnej, 1/4 mtr. koroneczki.

№ 37. Płaszcz z peleryną dla małego dziecka.

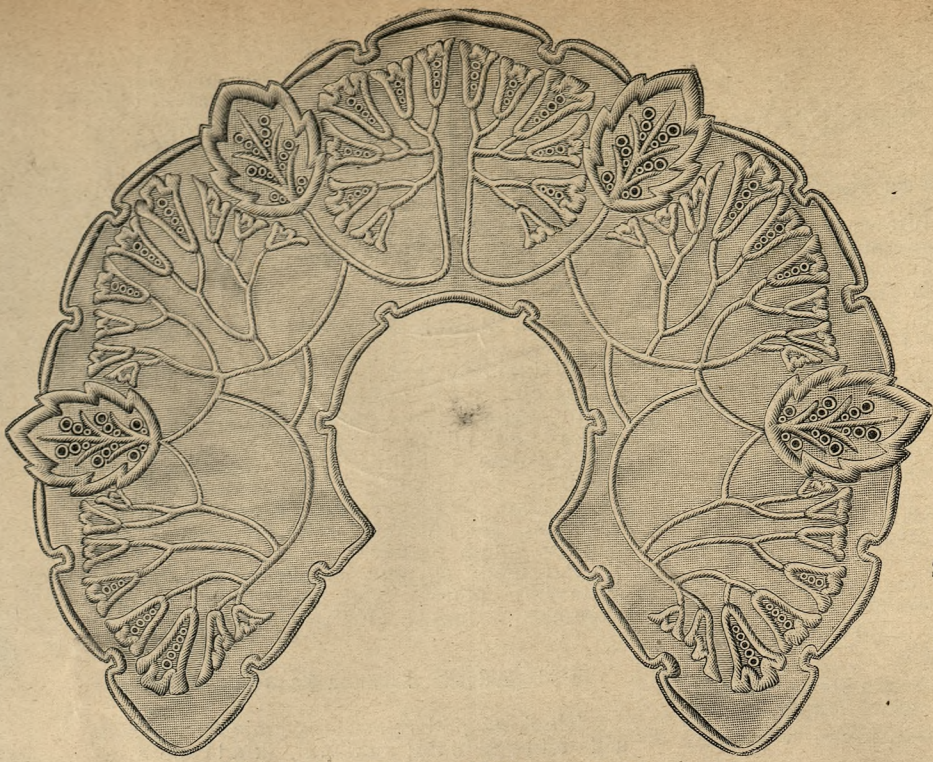
Biały kaszmir, mereszki, frenzla i biała atlasowa podszewka, przepikowana na lekkiej wacie, składają się na bardzo piękny płaszcz dla dziecka noszonego na rękę. Płaszcz w dole zastębowany w szeregi drobnych zakładczek. Peleryna plisowana. Karczek z mereszki, osztyt frenzla.

Potrzeba: 3 mtr. kaszmiru podw. szerok., 5 mtr. plecionki, 8 mtr. mereszki, 1 mtr. frenzla.

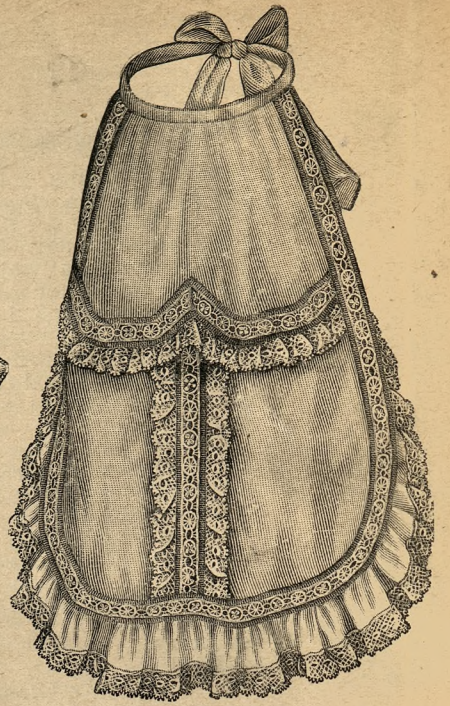




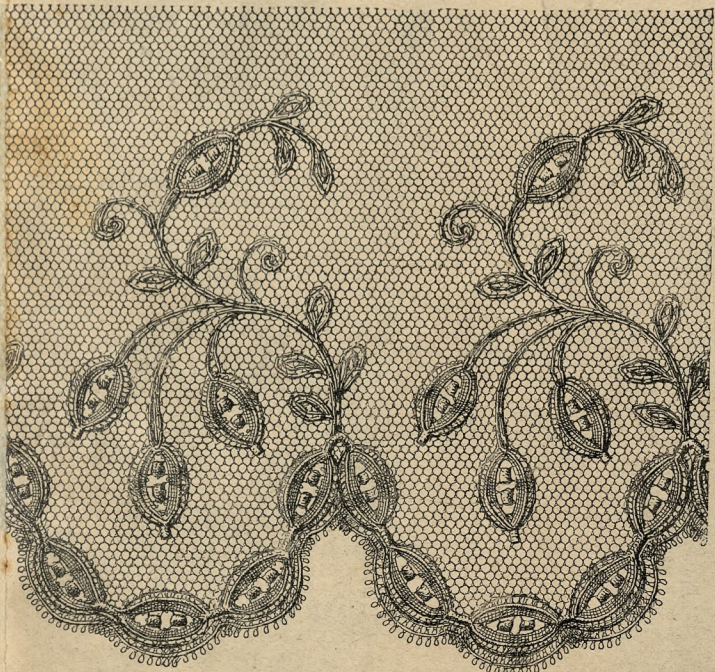
№ 16. Sukienka zdobna krzyżykowem wyszyciem dla dziecka od 1-2 lat. (Krój i wskazówki pierw. str. tabl. Fig. 55-57). (Patrz ryc. 19).



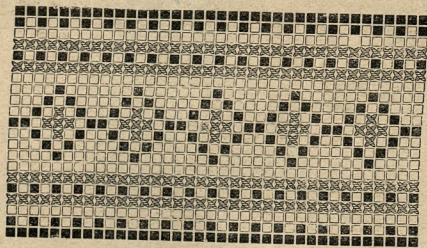
№ 17. Kołnierz płócienny, haftowany, dla dziewczynki. (Wzór odwr. str. tabl. Fig. 127).



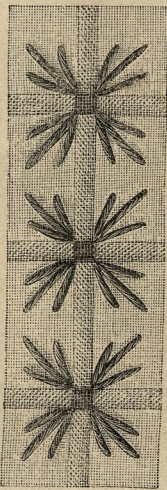
№ 18. Fartuszek ogrodowy z kieszeniami. (Krój odwr. str. tabl. Fig. 126).



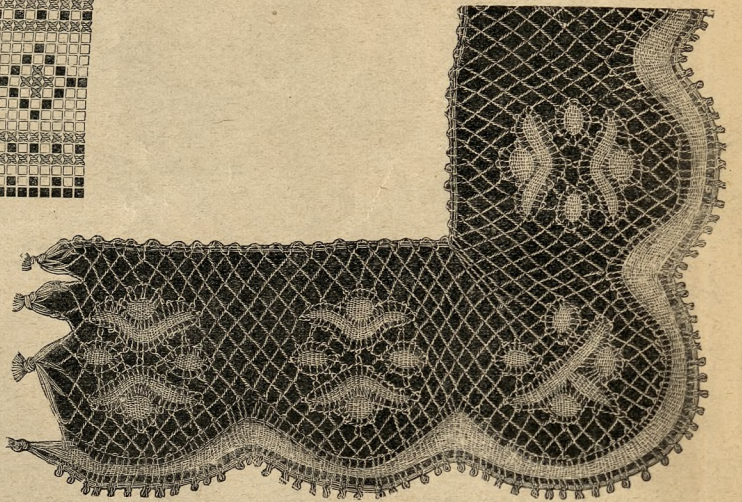
№ 20. Wzór koronki Brukselskiej. (Tiul, tasiemeczka medaljonowa i koronkowe ścięgi).



№ 19. Wzór wyszycia do ryc. 16. (Kolory dowolne).



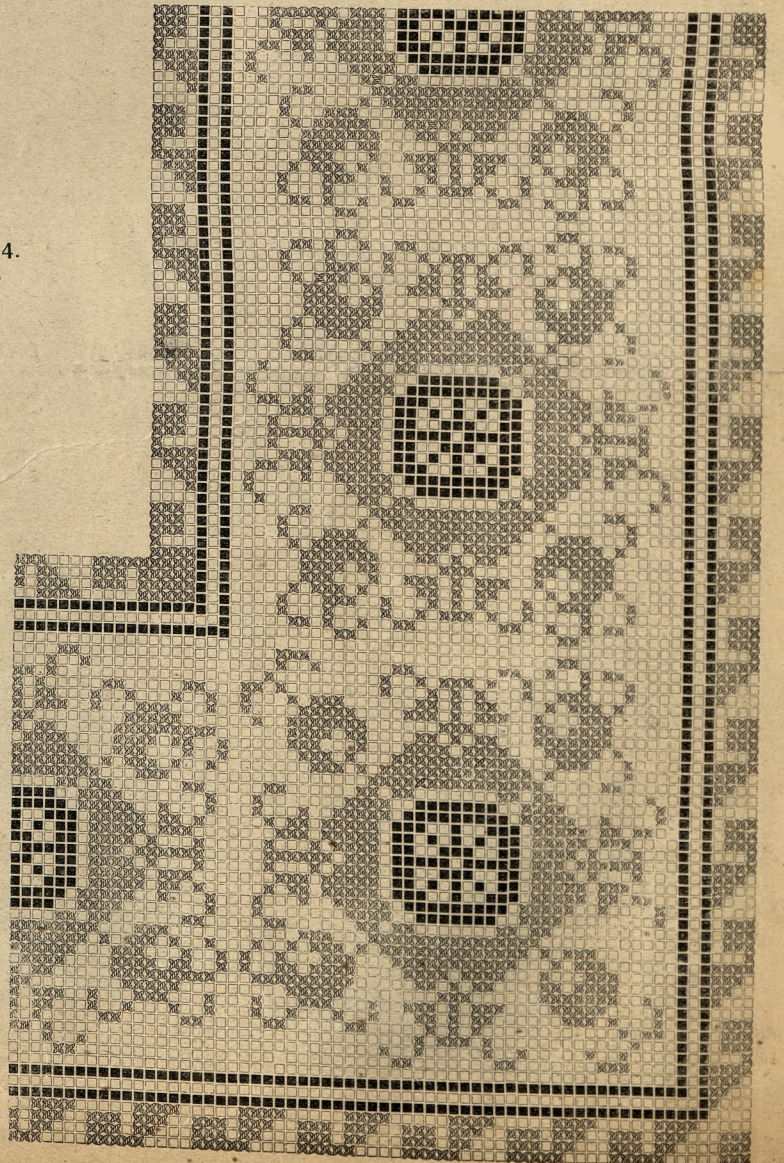
№ 21. Wyszycie do ryc. 24. (Wielkość oryginalna).



№ 22. Koronka klockowa naśladowująca koronkę Valenciennes. (Wzór pierw. str. tabl. Fig. 61).



№ 23 i 24. Serweta z materyalu Jawa i serweta z materyalu Aida w kratę. (Patrz ryc. 21 i 25)



№ 25. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 23